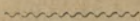



P i s m a

IGNACEGO DĄBROWSKIEGO

TOM III



NOWELE



WARSZAWA
NAKŁAD JANA FISZERA
1900

Ignacy Dąbrowski

—♦—

NOWELE

KOLEGA SZKOLNY
SONATA CIERPIENIA
LEGENDA O PROMYKU
SOBOTNIM
IDYLLA — JEDNA ŁZA



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-780 Warszawa
Tel. 26-68-63, 26-62-31 w. 42

WARSZAWA
NAKŁAD JANA FISZERA
1900



Дозволено Цензурою.
Варшава 15 Сентября 1899 г.

560

Warszawska Drukarnia i Litografia. Trebacka 11.

KOLEGA SZKOLNY

NOWELA

Nowele.

B było już dobrze po drugim dzwonku, gdy nagle drzwi przedziału, w którym dotychczas siedziałem sam jeden, rozsunęły się i ukazała się w nich postać tragarza w niebieskiej bluzie, obładowana całym mnóstwem paczek i pakunków.

Tutaj wolny prawie cały przedział—rzekł do kogoś, stojącego jeszcze na korytarzyku.

„Jakaś jejmość na letnie mieszkanie z całą spiżarnią i zabawkami dla dzieci“—pomyślałem, rzucając przelotny wzrok na wnoszone pakunki. I życząc już tylko sobie, żeby była samą bez dzieci, któreby mnie deptały po nogach, skacząc przy oknie, usunąłem się czempędzej ku drzwiom. We drzwiach tymczasem ukazała się nie jejmość,

lecz mężczyzna trzydziestokilkoletni, średniego wzrostu, dobrze odżywiany, w okularach na cienkim nosie, z dwiema torbami w rękach i dziecinnymi taczkami pod pachą.

Był bardzo zmęczony. Raz po raz zdejmował kapelusz i wycierał chustką spocone czoło i włosy, tak rzadkie, że już przeświecały łysiną. Nie usiadł jednak od razu, tylko zaczął niespokojnym wzrokiem przeglądać swoje tłumoczki, jakby w obawie, czy aby czego nie zapomniał. Widocznem było, że cały ranek przed odejściem pociągu spędził na t. zw. lataniu po mieście za sprawunkami, których całą litanię miał wypisaną w jakimś liście. Teraz właśnie odbywało się ostateczne sprawdzanie. Wzrok jego ciągle wędrował od trzymanego w ręku arkusika papieru na półki, kanapki i pod kanapki, przyczem za każdym razem zdawał się mówić w myślach: „aha, jest,—no dobrze.“

Twarz jego wydała mi się nie obcą, ale też i tak dalece mało znaną, że nie zadawałem sobie trudu nad odgadywaniem, kie-

dym ją widział i gdzie. Tyle się przecież twarzy przewija przed nami codziennie w towarzystwie, na ulicy, w sklepach, w tramwaju! Przytem, ponieważ z podróży, w którą, się udawałem, obiecywałem sobie wiele przyjemności i wrażeń, i z Warszawy wyjeżdżałem w najlepszym nastroju, więc nie chciałem rozpraszać sobie tego nastroju na zdawkowe rozmowy z nieinteresującymi znajomościami wagonowemi.

Pociąg był już w pełnym biegu. Przez otwarte okna wlatywały nam do wagonu wieś i pola. Pogoda była piękna. Chociaż miało się już ku końcowi czerwca, czuło się jeszcze w powietrzu i krajobrazie coś z wiosny. Wszędzie świeża zieleń, młoda, mająca przed sobą całe miesiące życia. Gdzieniegdzie połyskiwała jeszcze poranna rosa. Nawet zbliżający się upał południowy wydawał się raczej egzotyczną osobliwością naszego chłodnego klimatu, aniżeli nużącą koniecznością lata.

Czułem się swobodnym, wolnym, jadącym dokąd sam chcę, na spotkanie polom, lasom, morzu, górcom, wszystkim wscho-

dom i zachodom słońca, które mię zastaną w wagonie lub na statku. Już z dawnego doświadczenia wiedziałem, że najprzyjemniejszym i najpamiętniejszym, bo swoim własnym, jest w każdej podróży to, czego niema wcale w Baedekerze. Więc też z całą samowiedzą chwytalem po drodze każdy promień i blask, otwierając im na oścież duszę.

Jest w nas jednakże jakaś wyłączność nastroju, która nie znosi, żeby obok nas ktoś czuł zupełnie inaczej, aniżeli my. Ten młody jeszcze a już pulchny, już łysawy, już w okularach mężczyzna, którego w myślach nazywałem nawet „jegomością“, siedzący naprzeciwko mnie, zajęty wyłącznie swojemi zatłuszczonemi paczkami, w których domyślałem się wędlin, wiezionych na letnie mieszkanie dla żony i całego stadka dzieci,—drażnił mnie ciągle, jako coś, czego się w żaden sposób nie dało umieścić w polu mojego chwilowego widzenia świata. Stawał mi się czems w rodzaju trochę ciasnego buta, który nie daje o sobie zapomnieć nawet na weneckiej Piazzecce. Raz po raz zwracałem na niego spojrzenie. Sie-

dział teraz spokojnie i coś zapisywał w notesie. Po ruchu ołówka widziałem, że po każdym wyrazie stawiał cyfry: był to zatem rachunek poczynionych przed wyjazdem zakupów. Zdjął okulary i przeglądając je pod światło, zaczął je przecierać chustką. Na chwilę spojrzenia nasze spotkały się z sobą i nagle pamięć moja narzuciła mi całą falą dowodnych, bardzo dawnych wspomnień. Ja tak doskonale znałem kiedyś wyraz tych siwych, trochę zamglonych oczu!

Przecież to był Borowski, Władek Borowski, mój kolega szkolny i przyjaciel, po prostu—mój Władek!

Ileż najpiękniejszych wspomnień z czasów szkolnej ławy mam związanych z tem imieniem! Każdy okres życia ma swoje, szczyty, epoki kwitnienia, które potem stają się najdroższą cząstką własnej duszy. Tak się układa życie, że całe lata przechodzą szaro, bezbarwnie, nie pozostawiając prawie nic w pamięci, kiedy tymczasem jakieś miesiące, tygodnie, często dni tylko lub godziny świecą nam w życiu jak najjaśniejsze gwiazdy, ku którym z taką radością

i utęsknieniem wyciągamy ramiona wspomnień! I im dalej się idzie w życie, tem coraz trudniej o te gwiazdy.—Przytępia się nasza wrażliwość i już te nowe nie mają dla nas ani tej siły, ani blasku, jaki miały dawne. A pamięć nie tępieje; i dlatego pewnie wszystkim starcom się zdaje, że słońce coraz słabiej świeci i mniej grzeje.

Bo my nie żyjemy ciągle. Miesiąc, czasem lata potrafimy żyć tylko jakoś wierzchem duszy, nie napotykając tych fal, któreby nam ją zakołysały aż do dna. Są to lata *porządne*, zrównoważone, zupełnie poprawne, najczęściej bardzo owocne w płody mrówczej pracy, ale też i monotonne, suche, a czasem nudne—jak lukrecya. Tak przeraźliwie szybko uciekają nam z pamięci! W dniu urodzin mówimy sobie wtedy: „a więc skończyłem lat trzydzieści! czterdzieści! czterdzieści i pięć! jak to poszło!“ I schodzą niewiadomo jak, na czym, a często—i po co? Ale, na żywy Bóg, to nie jest *życie*. Żyjemy dopiero w te dni tylko lub chwile, kiedy wywlekamy na światło dnia całą naszą duszę, pozwalając ją przeglądać, jak obraz na szkle, a serce bierze-

my w dłoń i, pokazując, mówimy: „patrzcie, jak bije!“ Bywa tak, że potem żałujemy, żeśmy je pokazali temu lub owemu,— ale nie żałujemy nigdy, żeśmy je pokazywali!

Władek Borowski! Tak—i on ją widział, moją duszę. Taką dziecięcą jeszcze, malutką ale przecież i w tedy biło w niej serce.

Jak ja pamiętam wszystko doskonale! Było to w klasie pierwszej. Z początku nie siedzieliśmy jeszcze obok siebie i mało na niego zwracałem uwagi. Uchodził za biedaka, trusią i był materyałem albo na t. zw. kowala, albo lizusa. Pomimo pilności i wielkiej pracowitości stopnie dostawał mierne. Szczególniej tępą miał głowę do arytmetyki. Raz został wywołanym do tablicy i rozwiązywał na niej zadanie. Widziałem, że szło mu ciężko i przez złośliwy figiel podpowiedziałem mu umyślnie błędnie. Nie spostrzegł się wcale i kiedy uradowany wracał do ławki, wycierając z kredy palce, pokazałem mu jeszcze na palcach czwórke, za co uśmiechnął się do mnie z wdzięcznością. Tymczasem klasa zaczęła szeptać:

„dwója, dwója!“ Z początku myślał, że to nie o niego idzie i długo musiano go szturchać, tłumaczyć mu na migi i wyjaśniać, zanim uwierzył. Nigdy nie zapomnę wyrazu jego twarzy. Już odtąd nikomu źle nie podpowiadałem. Po chwili doszedł mnie jego stłumiony, cichy płacz. Na pauzę pobiegłem do nauczyciela i przyznałem się do wszystkiego. Kochany stary profesor dał mi przytyka w ucho, a pamiętam, że to bolało, i obiecał „wyrwać“ go na przyszłą lekcję. Następne trzy popołudnia i całą niedzielę spędziłem u niego, przygotowując go, jako mocny w arytmetyce, do tego obiecanego „wyrwania“. Dostał trójkę, nawet z plusem,—poraz pierwszy w życiu.

Wtedy to zbliżyliśmy się do siebie. Po za szkołą widywaliśmy się prawie codziennie, bośmy mieszkali zaledwie o kilkadziesiąt kroków, a mnie nie pilnowali bardzo w domu.—Częściej przychodziłem ja do niego i, jakby to wczoraj było, pamiętam te nasze wieczory. Matka jego już niemłoda, żółta, chuda kobiecina, zajmowała się wyrabianiem tutek papierowych do proszków dla aptekarzy. Za setkę takich tu-

tek płacili jej trzy grosze, t. j. złotówkę za tysiiąc, bo tak się to, pamiętam liczyło; ale ona doszła w tem do takiej wprawy, że zarabiała czasem do 10 złotych dziennie. Władek jeżeli mu czasu starczyło, bo uczył się długo, dopomagał jej także, a już stałym obowiązkiem jego było składanie tych tutek w setki i w ciąganie w opaski.

Takie były podobne do siebie te wieczory! Siedzimy sobie we troje przy stole pod lampą, Władek albo się doucza jeszcze albo liczy tutki, ja—bo i dla mnie z czasem znalazło się zajęcie—wyglądam kostką załamy papieru, a ona jak maszyna, składa te tutki, składa, składa, co parę minut odrzucając cały stos gotowych, na obok stojące łóżko. Pamiętam, żem z początku nie mógł w żaden sposób dojść jak się to robi, bo widziałem tylko ciągle migające kawałki papieru i żółte, długie palce w tak szybkim ruchu, jakby grała praestissimo na fortepianie. I przytem mówi, ciągle mówi. W tem była niewyczerpaną. Z początku myślałem, że to tylko mnie tak się zwierza i ogromnie mi to pochlebiało, bo jeszcze nigdy nikt ze starszych nie wybierał

mnie na swego powiernika. wkrótce przekonałem się, że Władek znał lepiej jej całe życie, niż swoje, gdyż jedno i to samo powtarzała pó kilkadziesiąt razy; swoją drogą słuchaliśmy jej zawsze z jednakową przyjemnością.

Wiesz, Władek, — mówi — widziałam dzisiaj na ulicy taki sam kasztankowy paltocek, jak ten mój, co to wiesz.....

Co go tata zastawił, jakim ja się urodziłem? pyta zaciekawiony Władek:—a jakże, pamiętam. No i co?

Zupełnie, ale to zupełnie taki sam. Pamiętam, ojciec przychodzi i mówi — ale mój ojciec—i mówi: „No, Ludka, szykuj oczy!“ Ja do paczki — a tu całe dwa łokcie kasztanków! tylko dwa, bo to podwójna szerokość. Prześlicznie mi było!

Żeby to można było wykupić!—wzdycha Władek,—Toby mamie ładnie było.

Oho, przypadło! Od tylu lat! Ileż ty masz lat? Dziesięć. Adju fruziu! Z początku płaciło się procent, a potem — poszło! Zmyliłeś się?

— Nie mamusiu.

— Pokaż!

Chwyta całą paczkę przerachowanych przez Władka tutek i paznociami tak szybko, jakby robiła tryl na klawiszach, przebiega po brzegach papieru.

No, dobrze, pamiętaj. Wiesz, Władek, widziałam dzisiaj Czerwińskiego.

— Tego co to się chciał z mamą żenić?

— Właśnie. Oho, pan całą gęba. Nie poznał mnie, ale to i lepiej, bo poco ma wiedzieć, że tak na psy zeszlam.

A mówiłam ci, że on sobie dom na Solcu stawia? — a prawda, mówiłam. Fiu, fiu, wielki pan!

— Że też to mama nie poszła za niego? z całego serca wzdycha Władek.

— Głupia byłam, moje dziecko, naturalnie. Chociaż, cóż ty sobie myślisz, że ojciec to był byle co. Oho, nie dał się w kaszy zjeść. Pamiętam raz na Saskiej Kępie—bo wtedy Saska Kępa była w modzie, nie to co teraz, co sami szewcy jeżdżą—jak się pokłócił z Putowskim, co się także koło mnie kręcił, myślałem, że do jakiego pojedynku dojdzie. Oho, taki to był ojciec! Czerwiński także strasznie się we mnie kochał, a jakże. Żeby nie ojciec —

ale, twój ojciec—byłabym napewno za niego poszła i pewnieby nam bieda w zęby nie zajrzała. Chociaż cóż, albo to i ojcu źle było, jak się ze mną żenił! Miał złoty zegarek z dewizką, a pościeli tyle, chociaż kawaler, że może Czerwiński i teraz tyle nie ma. Bronka poszła za konduktora i jeszcze nosa darła, a ja wolałam, że mój choćby w cyrkule służy, a nie łapy tam po bilety wyciąga. Tylko nie obrotny był, szczęścia nie miał i nas w biedzie zostawił. No, na boskim sądzie teraz—a ty, Władek, pamiętaj, ojca kochaj, pamiętaj?

Władek pamiętał i ojca kochał, ale swoją drogą w poufnych naszych rozmowach, lubił się zaciekać w przypuszczeniach, coby to było, gdyby się nazywał nie Władkiem Borowskim, tylko Władkiem Czerwińskim. Pamiętam nawet, że mu dzielnie w dociekaniach pomagał.

Doszło w końcu do tego, że na jej ciągle pytania, czy Władek zna, czy wie, czy pamięta, odpowiadałem i ja: „pamiętam, a jakże, wiem, to ten, co się w pani kochał, jak pani już była narzeczoną i t. p. Pod najrozmaitszymi pozorami wykradałem się

z domu i biegłem do Władka, żeby tam spędzić cały wieczór, póki nie wybiła krytyczna dla mnie dziesiąta godzina. Pani Borowska wyprawiała mnie zawsze jednakowo.

— A Julciowi już czas do domu.

Bardzo dziękujemy i prosimy nie zapominać o nas. A co Julcio jadł dzisiaj na kolację? Ozór? Pytałam się wczoraj na mieście—prawda Władek, zem się pytała? —i chcieli po złoty groszy sześć za funt, taka drożyzna teraz. Za moich czasów to cały ozór można było za te pieniądze dostać, prawda Władek? Trudno, nie każdy może —dodawala konfidencyonalnie— a zawsze Władek takie same dziecko jak każde inne, prawda Władek?

Do szkoły chodziliśmy już razem, czekając na siebie na ulicy. Wracaliśmy tak samo, tylko zawsze niezliczoną ilość razy odprowadzaliśmy się nawzajem od jego bramy do mojej, od mojej do jego, nigdy nie mając dość czasu do nagadania się. O czym tak rozmawialiśmy wtedy? To już pamiętam mniej. Wiem tylko, żeśmy nie mieli dla siebie żadnych tajemnic. Wszystko, co tylko może przemyśleć, przeczuć,

przemarzyć dusza dziesięcioletniego dziecka przekładaliśmy sobie nawzajem w serca, które nam rosły wtedy tylko jedno dla drugiego. Aż doszło wreszcie do tego, że wskutek ciągłego przebywania razem,—bo chwile przeżyte oddzielnie nie posiadały dla nas żadnego znaczenia, mieliśmy zupełnie te same myśli, te same czucia i przedewszystkiem—te same marzenia.

Uspodobieniami różniliśmy się znacznie. Ja byłem żywy, ryzykowny, trochę wybujały; on był cichy, o wiele trzeźwiejszy ode mnie, bojaźliwy. Już wtedy czułem, że mam na niego wpływ. Zaczął się nawet puszczać na figle w klasie, takie nieśmiałe, niewinne figle, z ciągłym oglądaniem się na drzwi od korytarza, czy tam kto czasem nie patrzy.

Najczęściej robiliśmy nadzwyczajne projekty na przyszłość—naturalnie. O tem, że nie mamy się nigdy rozstać z sobą, już się nawet nie mówiło—rozumiało się to samo przez się. Wszystkie wielkie plany tworzyłem ja. Ile tam w nich było pożyczek z Mayne Reyde'a, Verne'a, Robinsona, już i ja sam teraz nie dojdę. Ach Boże,

któż z nas nie miał dziewięciu, dziesięciu, jedenastu lat? Władek był zawsze zachwycony. Imponowałem mu niezmiernie swoją znajomością geografii.

— To gdzież to ta Samoa?—pytał.

— Nie wiesz? Na Oceanie Wielkim, koło Australii, akurat pod nami.

— To długobyśmy jechali?

— Te... to zależy, można i cały rok.

— Ah, jak to dobrze!

Nic, a nic go to nie zrażało, że regularnie, niemal co tydzień, plany ulegały radykalnej zmianie. Słuchał nowych z tym samym podziwieniem i zapalem jak kilkadziesiątu poprzednich.

— To już nie do tej Samoa? pytał.

— Nie, bo widzisz, to zadaleko. Ale zobaczysz, jeszcze coś lepszego wymyśliłem.

I projektowaliśmy nową wyprawę do bieguna. Cały tydzień schodził nam na drobiazgowem obmyśleniu ubrania, statku, który miał być tak wielkim, jak most na Wiśle i cały z żelaza, żeby go „nie wiem jakie“ góry lodowate rozbić nie mogły i żywności tak lekko, żeby funt wystarczył na jakie pół roku, bo przecież, to można chy-

ba coś w tym rodzaju wymyślić. A wreszcie od czegoż białe niedźwiedzie?

Mieliśmy już nawet upatrzone miejsce na Krakowskiem Przedmieściu, gdzie miał w przyszłości stanąć nasz pałac: tam naprzeciwko Ś-go Krzyża, między Obozną i uniwersytetem—dobry punkt!

Tak przebyliśmy razem klasę pierwszą, drugą i trzecią. W szkole nazywali nas Kastorem i Poluksem, o cośmy się obrażali, bo, zwłaszcza to pierwsze przezwisko wymawiali tonem niezbyt dla nas pochlebnym.

Pamiętam, że byłem o niego zazdrosnym. Było to w drugiej klasie kiedyś go raz pobił za to, że nie ze mną chciał łódką jeździć na Czystem, tylko z innym kolegą. Od tego czasu wystrzegał się już pilnie i dochowował mi wiary.

Aż raz nagle, jak piorun, spadła na nas wieść, że matka jego dostała miejsce gospodyni u jakiegoś kanonika w Lublinie i wyjedzie tam natychmiast, zabierając i Władka z sobą. Tak to dobrze pamiętam, że ją całowałem po rękach i kolanach, zapuchnięty od płaczu, błagając, żeby nie jechała. Ale ona po swojemu to rozumiała.

Widzisz, Władek,—mówiła—nawet Julek to rozumie, że to nie dla mnie to księżę gospodarstwo. Co by to Czerwiński powiedział? A dzisiaj znowu go widziałam. Na psy zesłam, na psy zesłam! Pani Borowska, wdowa po urzędniku, a teraz księża gospodyni! Ktoby to się spodziewał! prawda, Władek?

I dalej, ciągle, jedno i to samo w kółko. Prawdą jednak było, że od dłuższego już czasu uskarżała się na jakieś strzykanie w palcach, które jej nie pozwalało tak szybko nimi przebierać, jak poprzednio i raz po raz nosiliśmy coś z Władkiem do lombardu.

— Wystrzępiły mi się palce—mawiała ktoby to uwierzył? Prawda Władek?

I pojechali.

Ostatnie kilka dni, korzystając ze świąt spędziliśmy zupełnie razem. Było to jakoś zaraz po Wielkiejnocy, przy końcu kwietnia. Pamiętam, że chodziliśmy już wtedy bez palt i czuło się wiosnę. Przeddzień ich wyjazdu, a mieli wyjechać o 4-ej rano, ostatni wieczór przebyłem u nich. Rzeczy już były spakowane i zamiast lampy, któ-

ra sprzedali, paliła się świeca, przylepiona do jakiejś paki, bo nie było już stołu. Pierwszy raz widziałem panią Borowską nie zajęta, na swoim zwykłym miejscu, tutkami. Niespokojna, jakby do ostatniej chwili jeszcze niepewna, co ma zrobić, kręciła się ciągle po pokoju i kuchence szybkimi rzutami oczu, przepatrując każdy kąt. Ale wszystko już, prócz pościeli na podłodze, na której mieli spać, było zapakowane. Co chwila jednakże coś podnosiła z ziemi, raz jeszcze przepatrywała i rzucała znowu. Palce, jej, od kilku lat, zaprawione do ciągłego ruchu i teraz nie chciały się uspokoić; zauważyłem, że nawet wtedy, kiedy nic nie trzymały, rozchylały się i skurczały nerwowo, chwytając powietrze. Za to mówiła o wiele więcej i prędzej, niż zwykle.

Skończona parada! Adju fruziu! Pamiętaj, Władek, że ja nie chciałam. Żebyś mi potem nie wymawiał, że cię matka na dziadowskie dziecko wykierowała. A zresztą cóż? inne dzieci i ojca mają i do szkół nie chodzą, a ty chodzisz, to kpij sobie zdrów. Żebyś nie była głupia, ojca nie

śluchała, a za Czerwińskiego poszła, oho, byłoby inaczej, pamiętaj Władek!

A my siedzimy na kuferku, przytuleni do siebie i nie mówiliśmy prawie nic, zresztą nie było już o czym. Ostateczny no i wielki plan był już gotów i opracowany w najdrobniejszych szczegółach w ciągu ostatnich dni. Właściwie—nie rozstawaliśmy się: takeśmy to sobie jakoś wykombinowali i wierzyliśmy temu najzupełniej. On miał być w Lublinie tylko półtora roku, a do klasy piątej miał przyjechać do Warszawy i utrzymywać się z korepetycyi. Przez ten czas zaprzysięgliśmy pisać do siebie codzień długie, bardzo długie listy, na bardzo cienkim papierze, bardzo małemi literami, żeby jaknajwięcej za jedną marką szło. Wysyłać jednakże te listy, ze względu na marki, mieliśmy tylko raz na tydzień; za to daliśmy sobie słowo honoru, że każdy z nas codzień przeczyta tylko to, co było jednego dnia napisane, żeby w ten sposób mieć na każdy dzień oddzielny list. Skąd nam to wtedy przyszło do głowy?

— A pierwszy list, pamiętaj Władku, to zaraz wyślij, pamiętaj.

— A jakże. A ty także zaraz pierwszy list wyślij, pamiętaj.

I znowu siedzimy i nie mówimy nic. Coś trzeszczy w płomieniu świecy, ze ścian patrzą na nas ona pustką jaśniejsze miejsca tapet, gdzie były obrazki, pani Borowska kręci się po pokoju i ciągle coś chwyta swoimi długimi, żółtymi palcami.

— A „Ducha puszczy“ wzięłeś? pytam się dziesiąty raz z rzędu.

— A jakże, wzięłem—odpowiada Władek.—W tamtej paczce z książkami.

I znowu cisza, nieprzerywana nawet cykaniem zegara, sprzedanego jeszcze przed kilku dniami.

Wreszcie czas już na mnie.

— Władek, ale ty mnie odprowadzisz? — mówię.

— A jakże—odpowiada Władek.

Żegnam się z panią Borowską tak, jakbym ją miał zaraz jutro zobaczyć.

— A nie zapomni Julcio mojego Władka? — pyta.

Nie odpowiadam nic, spoglądamy na siebie z Władkiem i uśmiechamy się jakoś pobłaźliwie.

Po drodze, aż do bramy mamy mi-ny dobre.

— No, to już—mówimy obaj.

— Naraz czuję, że się w tej chwili rozplaczę.

— Słuchaj Władek—mówię piskliwie chodź jeszcze tam do sieni, jak się na górę idzie.

Idziemy do sieni. Schody kuchenne, wązkie, brudne, prawie ciemne i strome, jak drabina. Dochodzimy pod samo poddasze, pod drzwi prowadzące na strych. Nie wiemy co ze sobą robić; siadamy na najwyższym stopniu. Jest zupełnie ciemno, tylko przez okno niżej pada nam ponad głowy słaby blask latarni z podwórza. Za ledwie możemy rozróżnić jeden drugiego.

— Słuchaj Władek—mówię—nie jedź. Widzisz, moglibyśmy tu sobie mieszkać, tu nikt nie chodzi.

— Gdzie?

— A tu, pod dachem. O, widzisz, tamby się zrobiło taką ścianę z desek i byłby zupełnie pokój.

— Ale zimnoby nam było—robi praktyczną uwagę Władek.

— Prawda. Ale przecież teraz lato, to ciepło.

— Prawda—przytwardza Władek.

Ale projekt ten nie zajmuje nas jakoś. Inaczej bywało dawniej.

— Władek—mówię.

— Co?

— Nic...

Znowu nie wiemy o czym mamy rozmawiać.

— Julek—odzywa się po chwili Władek.

— No co?

— Na mnie już czas, już pójdę.

— Poczekaj jeszcze, poczekaj Władek; jeszcze troszkę mój złoty!

I znowu cisza, tylko słaby blask latarni miga nam nad głowami po krokwiach dachu.

— Władek, a pamiętaj—nie zapomnij o mnie—mówię.

— Nie zapomnę. O Jezus, o Jezus—dusi się Władek.

— Bo, widzisz, Władek, ja.... — i nie mogę skończyć?

— ja jabym chyba umarł—wykrztuszam wreszcie.

Trzymamy się obaj za ręce, mokre od łez i płaczemy, płaczemy że mało nam serca nie pękna.

I znowu:

— Władek...

— Co?

— Nic... ja tak tylko... pamiętaj...

— O jej, jej, jej... — powtarza Władek, nie mogąc złapać tchu.

I pojechał.

Nie widzieliśmy się już nigdy i korespondencya nasza urwała się bardzo prędko.

Jeżeli tu może być mowa o czyjejsz winie to tyleż było w tem mojej, ile i jego. Skończyło się, jak się skończyć musiało, jak zresztą kończy się dziecięctwo, młodość, każdy zapal, wszystko. Dlaczego? Albo ja wiem? Dlaczego ludzie mogą się kochać po pięć razy w życiu? ja także nie wiem. A kochają się.

Zmienił się bardzo. On nie poznał mnie wcale i mogłem mu się przypatrzeć spokojnie. Została mu tylko dawna żółta cera, cienki mało wystający nos i wyraz oczu, trochę zmęczony teraz przez uży-



wanie szkieł. I taka mu wielka broda zdążyła wyrosnąć!

— Władek—odezwałem się—nie poznajesz mnie.

Spojrzał się na mnie z początku zdziwiony, potem zakłopotany.

— Doprawdy.... przepraszam... mój krótki wzrok...

I głos tak mu zgrubiał!

Nazwałem się.

— Aa... prawda! poznaję, poznaję....

Uścisnęliśmy się mocno i długo za rękę. Poznał mnie rzeczywiście, z twarzy jego jednakże nie schodziło zakłopotanie i miał minę obudzonego nagle ze snu. Rozmowa nam się z początku zupełnie nie kleiła i czułem, że nie wiedział, co ma mówić!

Dawne czasy! pamiętasz? — pytam. — Ileż to lat temu? Dwadzieścia! Nie może być! A prawda.

Rzeczywiście to już dwadzieścia lat temu! I kiedyż to wszystko przeleciało?

— Twoja matka żyje jeszcze?

— O nie. Już z dziesięć lat temu, jak umarła. Zaraz w parę lat po naszym ślubie.

— Toś się ożenił? Ach, prawda, naturalnie—mówię, przypominając sobie te paczki i zabawki.

— A... — namyślał się długo jak ma mi mówić — a... ty?

— Ja? Uchowaj Boże. No ale mów o sobie, opowiadaj. Pamiętasz, jakieśmy wtedy na schodach siedzieli?

— Kiedy?

— No wtedy ostatniego wieczora, przed waszym odjazdem.

— A... pamiętam.

— Toś się ożenił? I... dawno?

— O, i bardzo nawet, zaraz prawie po wyjściu z gimnazyum. Miałem jechać na uniwersytet, ale nie było zaco i właśnie zakochałem się.

-- Dzieci masz dużo?

— Czworo. Było więcej, ale poumieraly.

— To ci się posypało.

-- A, tak... Uśmiechnął się.

Rozruszałem go wreszcie i rozgadał się na dobre. Ożenił się, mając lat dwadzieścia jeden, a pensyi trzydzieści rubli na miesiąc. Z początku szło im ciężko,

zwłaszcza, że pierwsze dzieci nie opóźniały się ani o jeden dzień, ale żona szyła jakieś kamizelki, czy coś takiego, więc jako tako przeokolatali pierwsze lata. Wreszcie za namową żony, widząc, że na urzędowaniu niczego się nie doczeka, przerzucił się do kupiectwa i nie żałował tego. Przed kilku miesiącami przenieśli się do Warszawy. Był zarządzającym w jakimś składzie sprzętów domowych na raty i miał do 120 rubli miesięcznie. Naturalnie w Warszawie utrzymanie droższe, za samo mieszkanie 400 rubli płacą i to prócz wody, ale ma stosunki z dostawcami do sklepu i wszystko o wiele mniej go kosztuje, głównie pieczywo i mięso. Zresztą prezenty! na Wielkanoc np. dostał wyżymaczkę. Z dziećmi tylko mają kłopoty: najstarszy przechodził angielską chorobę, w zimie wszystkie chorowały na koklusz, a teraz znowu dziewczynce robi się coś w uchu: boją się, czy to nie skrofuley, w takim razie wysłałby żonę do Ciechocinka, tem bardziej, że i najstarszemuby się to przydało. Teraz kazali mu pić porter i chłopiec tak się przyzwyczaił, że sam się jeszcze dopomina.

--- A ty dokąd jedziesz — spytał wreszcie.

— Ja? Teraz do Mürzzuschlag, a potem dalej.

— To gdzie to? w Szwajcaryi?

— Mürzzuschlag?

— Tak.

— W Styryi, w Austryi.

Próbowałem jeszcze raz go zaczepić o nasze dawne czasy. O, pamięta wszystko dobrze: przecież właśnie teraz po wakacjach oddaje chłopca do szkół i boi się, czy zda. A dziecko bardzo zdolne i taki chętny do nauki! Żona chce wziąć bonę Francuzką, ale to dopiero może za rok, bo teraz mieli większe wydatki; chociaż szkoda, bo dzieci ogromnie zdolne.

Rozmowa urwała się na chwilę. W wagonie przyćmiło się nieco, ponieważ pociąg wbiegł między wysokie ściany starego lasu sosnowego. Poczulem zapach rozgrzanej żywicy i mokrych leśnych ziół. Zdjął mię niespodzianie jakiś żal, że jutro już zupełnie inne, obce widoki będę miał przed oczyma. I nagle przysłała mi myśl do głowy, żeby wysiąść razem z nim na jego stacyi i spe-

dzić cały dzień i wieczór z nim i z jego rodziną, wśród naszej polskiej wsi z pękatem wierzbnami i płotami z chróstu.

— Ty dokąd jedziesz? — spytałem.

— Ja? Do S. Ale, mój kochany — dobrze, że mi się przypomniało: czy ty nie znasz kogo z gimnazyum, albo jeszcze lepiej, z okręgu naukowego?

Przeszukałem myślą w pamięci.

— Nie, nikogo nie znam. A dlaczego?

— Bo, widzisz, idzie mi o mojego Władka. A nuż nie zda, a teraz bez protekcyi nic nie można zrobić.

— Żałuję bardzo, ale nie znam nikogo.

I rzeczywiście nikogo takiego nie znałem.

Po chwili rozległ się świst lokomotywy. Borowski rzucił się do zdejmowania pakunków.

— Wiozę hamak dla żony — rzekł, pokazując mi jakąś niezgrabnie związaną paczkę.

Pociąg zatrzymał się wreszcie. Na peronie stało mnóstwo osób w letnich jasnych ubraniach, ale wystrojonych tak, jak-

by to był Ogród Saski. Kobiety na powitanie powiewały porozpinnanemi parasolkami. Rozległy się nawoływania, piski dzieci, zgiełk. Borowski wychylił się z okna.

— Są — rzekł po chwili. A potem, zwracając się do mnie: no, do widzenia, może się jeszcze kiedyś spotkamy. A jaki twój adres?

Wymieniłem mu numer i ulicę.

— Będę pamiętał, 14? będę pamiętał. Bo czasem coś takiego wypadnie...

No, do widzenia, do widzenia...

Uścisnęliśmy się znowu za ręce i w końcu pocałowali. Przywołany tragarz wynosił pakunki.

Wyjrzałem przez okno. Borowski stał już na peronie, otoczony przez żonę i troje dzieci; czwartego nie mogłem się jakoś dopatrzeć: widocznie zostało w domu. Żona wysoka, chuda o śniadej cerze i śpiczastym nosie, z ponsowymi kwiatami przy kapeluszu, wyglądała na ciotkę z długimi palcami. Dwie dziewczynki w pasterkach na wysokich cienkich nogach w czarnych pończochach, miały miny bocianów. Wszyscy wśród nieustannych uścisków zarzucali się

pytaniem, zapewne o dom, interesa, sprawy. Na mnie nie obejrzeni się ani razu.

Ale najwięcej zajmował mi syn jego, zapewne ten najstarszy, o którym mi wspominał, także Władek. W jasnej uczniowskiej bluzce z paskiem i w płóciennych spodniach, nie wyglądał już na dziecko, tylko na sporego chłopca, w tym wieku, kiedy się już zaczyna grać w palanta. Ot, teraz pójdzie do szkół, będzie miał swoich kolegów, swoje uczniowskie tajemnice, swoje biedy szkolne, zupełnie jak my niegdyś. Wydaje się to tak niedawno a przecież — tak dawno! Więc to ten mój Władek ma już takiego syna!

Poczułem się o wiele starszym, niż dotychczas. Nie po raz pierwszy już, ale teraz najjaskrawiej zrozumiałem, że jakieś wrota zaparły przede mną zupełnie wielki kawał mojej przeszłości, i już bezpowrotnie i na zawsze.

Pociąg ruszył. Ludzie poczęli zasuwać się jedni za drugich, potem za drzewa, drzewa za budynki stacyjne, budynki znowu za drzewa i po chwili widziałem już tylko kępę skupionych murów, kominów,

zielonych konarów i słupów telegraficznych. Droga od stacyi śpieszyły wózki i bryczki, pełne rozpiętych parasolek, podnosząc tumany kurzu.

Kiedy wyjrzałem znowu, nie dostrzegłem już nic. Pociąg skręcił za las i widziałem tylko ciemny wał drzew, które srebrnawy pył upału i sieć powietrza coraz bardziej i bardziej oddalały ode mnie...

Tak, to się już zupełnie, zupełnie skończyło...

Na widnokregu tu i owdzie zaczęły się ukazywać wzgórza, a za nimi srebrnobiałe obłoki, jak wielkie góry. Pociąg skręcał to na prawo, to na lewo, zataczając niewielkie łuki.

Przesiadłem się twarzą do lokomotywy. Zapuściłem wzrok w dal, tam przede mną, i zdawało mi się, że tuż, tuż za tymi pagórkami czekają na mnie te góry, morza, hotelowe table d'hôte'y, wielkie lodowce i nieznani ludzie, do których śpieszyłem po nowe wrażenia.

SONATA CIERPIENIA

Leżał na ziemi wśród traw, z rękoma pod głową, wpatrując się w bezdenń nieba.

Dzień gasł i szarzał. Upał wraz ze słońcem uleciał gdzieś na zachód, pozostawiając za sobą łagodne oddechy, chłodzące i rzeźwiące rozpaloną ziemię. Cicho było i spokojnie, tak martwo spokojnie, jak to bywa nieraz w wieczór lipcowy, po dniu upalnym i znojnym, kiedy ani wiatr nie zaszeleści liściem, ani głos żaden nie zamąci ciszy. Drzewa spały, jakby zamarłe w swoim bezruchu, niby już stojące gdzieś na innym świecie, na którym życia nie ma. Gdzieniedzie wśród traw strzelała w górę wyniosła dziewczanna, zawsze ruchliwa i wiotka,—teraz spokojna i sztywna. Niżej, przy

samej ziemi, stały się rumianki białe i żółte jaskry, niby drzemiąc na swoich łożyskach i tonąc w spoczynku. Same tylko gwiazdy migotały gdzieś w dali, chwiejąc się trochę. Cisza przepoila ziemię i kojąc ją do snu, odjęła jej ruch i życie. Czasem tylko smutna czajka zapiszczała żałośnie.

Orliczowi, leżącemu w trawach, wygodnie było jakoś, cicho i spokojnie. Wstrzymywał oddech niemal, żeby najmniejszym szmerem nie przerwać tej ciszy, nie zamącić bezruchu, w jakim wszystko tonęło. Rozkoszował się tą ciszą i wsłuchiwał w nią, a w niebo patrzył i gwiazd na niem szukał. Czuł się dziwnie tym gwiazdom blizki i zespolony z niemi. Poraz pierwszy w życiu nie wyodrębniał się od otaczającej go przyrody, tylko był nią samą. Drzemały drzewa, posnęły kwiaty, powietrze nawet jakby stało w nieruchomości i martwocie, — on też wegetował tylko, nie myślał, nie działał, istniał jedynie. Spowinęła go i ukołysała natura cała, a on czuł swą do niej przynależność, jakby ją czuły drzewa i trawy, gwiazdy i niebo.

Roztaczał się przed nim wielki kawał

świata, ale on w nim nie widział obrazu, bo sam należał do niego i był jego częścią nierozdzielną. Zdawało mu się, że ktoś z poza gwiazd, z wysoka spogląda na ziemię, rozpatrując krajobraz, on zaś gra w nim tylko taką samą rolę, jak ten kamień, co ma pod głową, jak te dziewanny nieruchome, jak ta czajka, co gdzieś krąży nad wodą. Nie było niczego przed nim, nie było niczego za nim, nie było żadnego środka, wszystko się zlewało w jakąś jedność współlistniejąca, a on był w niej małą cząsteczką, małą plamką, dopełniającą ogólnej harmonii.

I była chwila, że nie mógł „ja“ powiedzieć, bo albo go wcale nie było, albo by je musiał na całe tło rozciągnąć. Rozpłynęło mu się po całym wszechświecie i cały wszechświat współsenny, drzemiący, cichy i nieruchomy szeptał z nim razem: „my gwiazdy i drzewa! my rośliny i wody! my dziewanny i dusze!“

I tak czas mu ubiegał w tem drzemianiu z naturą i w tym szepcie z nią wspólnym, który olbrzymiał coraz więcej, rozszerzał się i wznosił, nabierał mocy i siły,

aż przeszedł w potężny hymn jakiś, śpiewany przez wszechświat...

Ocknął się wreszcie z wrażeniem człowieka, co się ze snu budzi i sen swój przypomnieć się stara.

Zaczął pracować umysłem nad rozpoznaniem, co to było i gdzie to on był wtedy? W chwili tego współbytowania z przyrodą był jakby w półśnie, bez czucia i myśli i bez żadnych wrażeń. Ogarnął go jakiś spokój bezmierny, jakies znieczulenie i znie ruchomienie. Nie było mu ani źle, ani dobrze, ani przyjemnie, ani nieprzyjemnie — bo nic nie czuł.

I nawet w całym ogromie wszechświata siebie odnaleźć nie mógł. Była natura cała — i on był w niej także, ale jego oddzielnie, w przeciwstawieniu do niej, nie było zupełnie.

Dotychczas wszechświat od zenitu aż do nadiru toczył się przed nim, wirował, istniał i żył, ale zawsze tak, że on nań patrzył tylko i widział go, ale z nim się nie toczył i nie wirował. On był zawsze pośrodku, a wszystko istniało dokoła niego. On — był on, a świat był sobie oddzielnie, jak

obraz wielki, który oglądać można. Czuł się nie w nim, lecz przed nim.

A teraz z tych dwóch rzeczy, które istniały dla niego przedtem, pozostała jedna tylko: pozostał świat, obraz. On zaś, jego „ja“ weszło w ten obraz i rozplynęło się w nim zupełnie. Po raz pierwszy poczuł się w samej miazdze natury, w jej wnętrzu samem i zrozumiał, że on i ona — to jedno tylko.

A drzewa ciągle spały, rozsiewając dokoła martwotę obezwładniającą.

Nawet brzozy, takie wiotkie zawsze, ruchliwe i rozkołysane, opuściły teraz gałęzie ku ziemi w niemocy jakiejś i uspokojeniu.

Żaden głos, żaden ruch, żadna oznaka życia nie mąciła tego skamienienia. Wszystko ogarnęła wielka bezwładność i wszystko zdawało się szeptać tylko w uspieniu: śpiemy, wypoczywamy, — nie ruszajcie nas!

Ale Orlicz już nie drzemał teraz. Myśl jego pracowała uparcie, uświadamiając sobie przebyte wrażenia.

Zdało mu się, że nagle został zepchnięty z jakiejś wyżyny na samo dno wgłębie-

nia, które miał przedtem pod sobą i, że on z tego wglębenia wydostać się już nie zdoła.

I było mu teraz zupełnie inaczej. Tam, w górze, siedział niby na tronie, czuł się panem wszystkiego, spoglądał z wysoka i miał swoje prawa, swego Boga i duszę, swoje przyczyny i cele. Był czemś zupełnie odrębnem, wyniesionem nad wszystko, stworzonem inaczej i rządzonem odmiennie, niż cała ta natura, istniejąca dla niego, jak masa szara, nad którąby panować można.

Tymczasem coś go zepchnęło z wyżyny i zmieszało z tą masą. Był teraz prochem, jak wszystko. Poczuł w kościach swoich te same drobiny, co skały złożyły, w żyłach ciecz taką samą, jaka płynie w milionach innych stworzeń, poczuł się duszą, bratem dusz tych brzoź płaczących, co mu się smętnie zwieszone rysowały w dali na tle szafiru nieba.

Nad poczęciem jego, życiem i zniknięciem pracować miały też same siły i też same prawa, co z prochów chaosu lepily roślinę, tworzyły wodę, opoki i gwiazdy, kazały im istnieć i rządzić niemi. Był dro-

biną pleśni, pokrywającej ziemię, był wytworem fermentu, jaki na niej sprawiały żywioły walczące. Zapłodniły go w prochu ruch, ciepło i światło, powołały z nicości i dały istnienie, jak tęczy kolorom, co są tylko grą światła, ich drgania igraszka. Słońce zajdzie za chmurę — tęcza zniknie w przestrzeni; żywioły się rozstrzelały — i on zniknie, jak mąka, ich tylko skupieniem przy życiu trzymana.

A z prochów, w które się rozsypie, ułoży się może dziewanna wysoka, co tak pnie się w górę, jakby do gwiazd dojść chciała. Albo może lotną falą gazów, uleci gdzieś w nadobłoczne krainy, żeby się błąkać tam wiecznie, to rozpraszać, to skupiać i tak lecieć i lecieć na skrzydłach powiewów, ciągle w pustki i próżnie, a spokoju nie zaznać...

Tymczasem noc już zapadła zupełna.

Skrawek nieba na zachodzie ciemniał coraz bardziej, osuwał się na dół i gasnął, aż wreszcie przeszedł w granat ciemny i złął się z ogólnym kolorytem nieba. Wtedy z ziemi zaczęły się unosić w górę białawe opary i przesłoniły sobą krawędzie horyzontu. Niebo na skrajach przybladło znów

niecو i wyblakłym pasem ochwyciło dokoła ziemię.

Dalsze pola i lasy zamgłiły się w oparach i znikaly powoli, zapadając gdzieś w ciemność! W powietrzu czuć było chłód i wilgoć. Świat zdawał się otulać we mgły i tumany i chować pod niemi, żeby drzeć spokojnie. Cicho było ciągle, tylko powiew lekki rozwłóczył zimno po ziemi.

Orlicz nie czuł go jednak. Leżał jak przedtem, zasluchany w ciszę, z oczami błędzącymi po gwiazdach, spokojny i rozmazony. Myśli mu się teraz wlokły powoli, leniwie i bez żadnego wysiłku, zwolna podążając za wrażeniami, jakie go opanowywały. Więcej odczuwał, niż myślał, i bez słów nawet rozumiejąc swoje uczucia.

Ogarnęła go apatya, ani przyjemna, ani przykra i przy zupełnej samowiedzy swego stanu poddawał się biernie napływającym wrażeniom.

„Więc prochem tylko jestem?“ szeptał sobie z cicha i dziwnie obojętnie zgaźdał się na to zupełnie.

„Więc jestem, niby roślina, zlepek

drobin, nic więcej“ — powtarzał znowu sobie, rozchylając zlekka kępy traw pod ręką.

Dziwnie inaczej patrzył teraz na nie. Zdawało mu się, że te żdźbła trawy czują dotknięcie jego ręki i cieszą się z tego, że się stał ich bratem. Więc gładził je dłonią, rozgarniał, nachylał, lubując się ich miękkością i całując je wzrokiem.

A trawy mu odpowiadały. Lekki wiaterek, rozwłóczący po ziemi tumany, rozkołysał je teraz i rozfalował. Chwiały się zlekka, chygotały i gięły, nachylając się ku niemu, jakby w pozdrowieniu bratniem.

„Ty do nas należysz — szeptały mu z cicha — jesteś bratem naszym i masz duszę nam krewną. Ty słońca pragniesz — my się pniemy do niego; ty się zimna boisz, — my od niego giniemy; ty pragniesz i łakniesz i tchu ci potrzeba, — my się rosą poimy i ziemią karmimy, a z słońca promieni na skrzydłach powiewów czerpiemy dech i życie. Jedna nas matka zrodziła“.

„A że wami jestem, więc jak i wy zniknę kiedyś, więdnąc i żółknąc i rozsypując się w prochu?“

„Znikniesz— mówiły trawy — bo i my znikamy“.

A zeschnięte źdźbła, co się pod nimi z lat poprzednich kryły, powtórzyły głucho: „Znikniesz, jak myśmy zniknęły“.

Orlicz godził się i na to. Owładnięty niemocą jakąś i rozleniwieniem opuścił bezwładnie duszy ramiona i dał się unosić wrażeniom. Odczuwał wszystkie i nawet rozumiał, tylko nie miał ni woli ni mocy borykać się z nimi i otrząsać z ich wpływu. Coś się w nim burzyło, druzgotało, waliło, on czuł to i wiedział, a przecież nie byłby w stanie wyprężyć ani jednej struny ducha, ażeby się bronić i wyrwać z bezwładu. Myśli mu płynęły, jak przytłumionej muzyki melodia, w monotonnem tempie, ze ściszonem brzmieniem.

Zdawało mu się chwilami, że mu się te myśli oderwały od niego, a toczyły gdzieś w górze, na gwiazdach, tam grając i szybując w przestrzeniach, a on się patrzy tylko na nie, wsłuchuje w ich szmery, rozumie je i czuje, ale sam nie pracuje nad nimi i nie jest ich panem. To gwiazdy myślały, to gwiazdy sunęły w szafirze, to

one staczały walki i boje, one się układały w nowe wzory i skupienia, a on patrzył w nie tylko.

I z tych niezgłębionych oddaleń spływały na niego falą, odbicia jakichś nowych prawd i uczuć, jakieś echa nowych celów, jakieś przecucia nowych walk, pojęć i wierzeń...

On leżał ciągle, zapatrzony i zasłuchany, niby w półśnie w bierności zupełnej i zdawał się mówić tym gwiazdom:

„Oto poddaje się wam w niemocy, czyńcie ze mną co chcecie, układajcie mi myśli, twórzcie mi duszę nową, bom ja sam słaby i rady sobie nie dam...”

I tak szła ta rozmowa poprzez nieskończone przestworza; gwiazdy toczyły się zwolna, migotały lub gasły, zapadając pod widnokregiem, a Orliczowi zdawało się ciągle, że to myśli jego, porozpinane na tych światłach nieba, snują kanwę jakąś, to się splatając, to rozplątując znowu.

Noc wreszcie blednąć poczęła. Łagodne kołysanie powietrza przeszło teraz w silniejsze podmuchy wiatru i zasnuło całą ziemię gazą mgieł i oparów. Z nad łąk i sta-

wów zaczęły się nasuwać na pola małe potargane kosmyki białych obłoków i rozwłócząc się tuż przy samej ziemi, pokryły ją bielą, niby oblubienicę do ślubu.

Potem tumany uniosły się zlekka do góry, zaczęły rzednąć i płowieć, rozwieszać się w powietrzu i szarzeć, aż w końcu przesłoniły sobą i gwiazdy i niebo.

Jednocześnie bladawe jakieś mleczne światło zdawało się przenikać powietrze. Nie płynęło ani od zorzy zachodu, ani od brzasku wschodu, ani od gwiazd i nieba, tylko przeciskało się zewsząd, jakby rodząc się samo i nasycając sobą każdą kropelkę wilgoci, zawisła nad ziemią.

Znikły pola i lasy, znikło niebo i ziemia, a została jedynie zamglona przestrzeń, której wzrok przejrzeć nie mógł. Zdawała się nieskończoną i głęboką, jak błękit, a przecież wisiała na oczach i, zda się, można ją było rękami wyczuwać. Skończoność i nieskończoność, bliskość i dalekość, próżnia i nasycenie zlały się w jakąś jedność mistyczną; — i było w niej jasno, ale nie widno — szaro, ale, bezbarwnie, — dźwięcznie, lecz głucho. I czas nawet, zda-

wało się, ustał w swoim wiecznym biegu i przeszedł w trwanie, zawisłe na kroplach tumanów.

Wreszcie wiatr zaczął przewiewać nisko, nad samą ziemią i odparł ku górze sieniejące mgły.

Ukazały się najpierw niskie ściernie i trawy, potem osty i głogi, bliższe płoty i kopce, — aż w końcu i drzewa przeglądać zaczęły poprzez osłony bieli. Świt zdawał się jeszcze dalekim, tylko mdłe światło brzasku i mgły rozpraszało mrok nocy.

Jednocześnie i szmery jakieś zaczęły mącić ciszę.

To wiatr z lekka zaszeleścił liściem na drzewie, to zaszemrały trawy, muśnięte powiewem, to ptak jaki zrzadka zatrzepotał skrzydłami, budząc się na chwilę i zasypiając znowu. Nie był to jeszcze nieustanny gwar poranku, zgiełkliwe budzenie się natury do życia; było to tylko ni-by przecucie ocknienia, ni-by strojenie instrumentów przyrody przed wielkim hymnem na powitanie słońca.

Tylko trawy rozgwarzyły się zupełnie. Wysokie a mdłe, obciążone kroplami rosy,

kołysane wiatrem, zaczęły się klaniać na wszystkie strony, to kładąc się nisko, tuż na samą ziemię, to wyprostowując znowu, żeby z następnym podmuchaem przypaść raz jeszcze do ziemi.

Wyginały się, jak fale, garbiły, piętrzyły, dając się szarpać i czochrąć, to muskać i gładzić, posłuszne każdemu skinieniu i ślepo uległe.

A gdy się tak kładły pokotem, rozwiewały lub gięły w pokorze, zdawały się szemrzeć szumem, jaki wiatr z nich dobywał:

„Jesteśmy uległe i słabe, lada podmuchom posłuszne, ale dobrze nam jest tak być, bo nie myślimy o sobie.“

A że miękkie były, puszyste i pod nogi się słały, więc szeptały jeszcze:

„Pójdź tu, na łono nasze: spoczniesz cicho, bez marzeń, a my cię kołysać będziemy, z czoła twojego zwiejemy smutki i troski, odgonimy niepokój, a wszczepimy spokój i będzie ci dobrze i błogo.“

Szeptały ciągle i ciągle, gaworzyły, szemrały, układały się miękko, prosiły po-

tulnie, aż uległ im Orlicz i zanurzył się w nie twarzą.

Rozłożył ręce szeroko, jakby chcąc ramionami objąć glob ziemi cały i zdało mu się, że tym ruchem wszystką naturę do piersi przyciska. Oto był z nią pierś w pierś teraz, poznawał w niej matkę i powitać ją pragnął. Ona, w tych trawach, przyjęła go na łono swoje, tuliła, pieściła, szumem falowań kołysanki mu śpiewała, a on, przylgniętymi do niej wargami, powtarzał oszołomiony:

— „Oto jestem, twój syn zabłąkany, — przyjmże mnie teraz.“

I nagle doznał dziwnego wrażenia.

Poczuł, że mu się w tym uścisku przerodziła dusza i że już nie powstanie takim, jakim był przed chwilą. Nowa jakaś fala wdarła mu się aż do głębin ducha, zmyła wszystko, czem żył i istniał dotychczas, a wydobyła na jaw nowe źródła, nowe pokłady, z których czerpać miał teraz.

Rozumiał, że wstanie innym już zupełnie i z duszą nową i na życie nowe.

Ani go chciał, ani pragnął, ani go znał jeszcze, a widział, że już iść niem

musi, bo mu w tamtem zaciasno teraz było i pomieścićby się w niem nie mógł. Nowa droga stała mu otworem, a on nie wiedział, czy witać ją, czy przeklinać, bo jej końca nie widział. Więc zdjęła go bojaźń wielka przed tą zagadką przyszłości i żałować zaczął swoich dni ubiegłych i tych urojeń, jakie mu świeciły wtedy.

Bo czuł to teraz, że mu było dobrze z niemi. Były dla niego niby dobre piastunki. Wypiastowały mu duszę i strzegły jej przed rozpaczą, koily jak balsam, gdy uczuwał cierpienie, osłaniały i tuliły, gdy pod ich skrzydła uciekał.

A oto teraz opuszczały go wszystkie i miał pozostać sam.

Czuł, że to niewinność jego ulatywała mu z duszy, że to ulatywały jego lata młode, lata anielskie spokoju, ufności i gołębiej prostoty, a czekało go coś nieznanego, ciemnego, gdzie się zbłąkać mógł łatwo.

I wielkie łzy żalu napelniły mu oczy. Duszę miał lkań pełną i wydobywały się z niego coraz gwałtowniej i silniej. Płacz nim wstrząsał i targał, a on, zanurzony

w trawach, raz jeszcze dał się unieść bezwiednemu wrażeniu, oddając mu się cały.

Bo nawet nie wiedział, czego tak płakał w tej chwili. Za mało znał to, co go czekać mogło, żeby całą siłą duszy żałować przeszłości; za mało też wnikał w tę przeszłość, ażeby się aż lękać, że ją utracił. Ot łzy same napływały z jakichś głębi nieznanych, a on płakał jak dziecko, niby w przeczuciu dziwnem przyszłych zwątpień i niewiar i tych wszystkich cichych smutków i wielkich rozpaczy, co nim wstrząsać miały.

Łzy mu padały na trawy, mieszały się z rosą i wsiąkały w proch ziemi. — I tak życia zaranie i poranku brzask pierwszy to rosą, to łzami witały dzień nowy.

Jakoż i słońce niezadługo wejść miało.

.

W taki sposób Paweł Orlicz rozpoczął życie nowe. Natura była to bujna, hojnie wyposażona, rozległa, chciwa wiedzy i wrażeń, tylko nadmiernie pobudliwa i czuła. Dzielność i porywczosć mężczyzny łączyły się w nim z tkliwością kobiety i czułością dziecka. Zapalał się łatwo i szybko,

z niepohamowaną gwałtownością, przerzucając się od jednych skrajności do drugich i kipiąc zapalem; równie jednak szybko i łatwo cofał się i ostygł, zrażając się lada drobnostką. Umysł miał szeroki i jasny, podatny i do głębokich dociekań i do poetycznych marzeń. W nim się one mieszały i zespały razem, tak, że filozofowały marząc i marzył filozofując. Umiał myślał ogarniać rozległe widnokreśli: wyrabiała to w nim chorobliwa niemal wrażliwość, która byle błażostkę musiała powiększać zaraz, uogólniać i tworzyć z niej jakieś zasady i prawa, przenikające w jego mniemaniu świat cały. Stąd płynęła u niego i niezwykła siła uczuć i zarazem ich chwiejność. Pogoda lub niepogoda, światło lub ciemność, dysonans lub harmonia, grały mu na nerwach, jak chciały, i równie łatwo potrafił śmiać się, jak płakać, nie za siebie jednak tylko, nie za ludzi nawet wszystkich, lecz za świat cały.

Od dziecka też wyrabiała się w nim ta nadmierna wrażliwość i czułość. Wychowany przez matkę wdowę, ubóstwiająca i piesząca swego jedynaka, a pozba-

wiony silnej, energicznej i surowszej opieki ojca, musiał wyrosnąć takim, jakim był. Przyzwyczał się do wyrafinowanej miękkości uczuć, do delikatności form życia i do silnie rozwiniętej czułości na wszelkie objawy uczuć w innych. Wszystkie te nabytki dzieciństwa z wiekiem potęgowały się tylko, rosły, rozwijały i zrobiły go w końcu jednym zwitkiem nerwów, wrażliwym na lada ich tknięcie.

Od dziecka też kochał dwie rzeczy przede wszystkim: poezję i muzykę. Dla muzyki zachwył swój, odpowiednio do wieku, wyrażał to jakimś fantastycznym, dla niego tylko istniejącym tańcem, to śpiewem, to łzami, póki z laty nie zaczął pod nią podkładać swoich myśli. Wrażliwość na poezję i piękno słowa rozwinęła się w nim później trochę i odczuwał ją dla jej dźwięczności jedynie.

W ten sposób te dwie dziedziny piękna zaczęły mu się zlewać w jedną harmonijną całość i nie odróżniał już jednej od drugiej.

Kochał muzykę, o ile była poezją, a poezję, o ile zespalala się z muzyką.

Słowa mu śpiewały i grały, muzyka mówiła i opowiadała. Dla niego każdy wyraz posiadał swoją właściwą mu harmonię i ton, a ich połączenia dawały jakieś symfonie i melodye zdań. Miewał czasem chwile, że mu myśli śpiewały i grały, płynąc w nim, jak muzyka, a on ją czuł słyszał i rozumiał zarazem.

Grą jednak nie mógł wyrzucić z siebie tych rozśpiewanych myśli i myślących tonów, jakie mu przepelniały duszę, bo żaden instrument nie mógł mu ich wyrazić. To wiolonczella płacząca, to flet śpiewny a prosty; to *con sordino* skrzypiec skarżące się i łzawe, to cytra brzękliwa, to trąb potęga szeroka uwodziły go na chwilę i oddawał się im z zapalem. Wszystko to jednak rzucał po kolei, zniechęcony, rozdrażniony, nie mogąc w żaden z tych instrumentów wlać grania swej duszy.

Ale że mu i słowa także grać umiały, więc pisał wtedy. Tworzyły się z tego jakieś fantastyczne poematy, gdzie rymy i rytmy były oddzielnymi tonami, wiersze taktami, a strofy częściami melodyi. Pisał szybko i dużo, choć z męką wielką, zapel-

niając całe stronice i nie poprawiając wcale. Myśli mu biegły i biegły, a on pisał i pisał, męcząc się jedynie nad zdobywaniem ich z siebie.

Na drugi dzień darł wszystko i palił. Posiadał w duszy jakiś ideał, jakiś pierwowzór tego, co wyrzucał z siebie i według niego właśnie sądził to, co stworzył. Zawsze i myśl była mniej jasna, niż w chwili, gdy pisał, i harmonia nie ta, i nie ta siła, jaka w nim kipiała.

Więc czekał ciągle, aż przyjdzie chwila taka, że stworzy pieśń, któraby jego przedewszystkiem zadowolić mogła. Bo z nadto kochał tę pieśń wymarzoną w duszy, żeby mógł w niej dopuścić choćby jedną skazę.

A nie pisać nie mógł. Czuł nieraz jakieś opętanie, jakieś owładnięcie nim zupełnie jednej myśli albo melodyi i musiał się choć starać o wydzielenie jej z siebie. Był jak człowiek, który na barkach wielki ciężar niesie i nie może nie myśleć o uwolnieniu się od niego. On także niósł wtedy wielki ciężar w sobie, tem cięższy tylko,

że wciąż rósł i olbrzymiał i ogromem swoim rozsadzać go się zdawał.

Siadał więc i pisał, — bo to robić musiał, jak musiał wydychać powietrze, które mu pierś rozpierało. I pisał sobie tylko samemu, tak jak myślał sobie.

Ale i pisanie nie przynosiło mu ulgi, nie uwalniało od tego nadmiaru uczuć i myśli, jakie mu się tłoczyły do rozpalonej głowy. Te pozaczynane, a nigdy niekończone poematy, te ulotne urywki, sonety i strofy, darte i palone zawsze w zniechęceniu, nie mogły dać zupełnego ujścia temu, co czuł w sobie. Ogień niszczył zapisane i przedarte karty, a myśl z nich ulatywała i wracała do niego, dopominając się o nowe wyłonienie jej z duszy, coraz bardziej ciężąc i niepokojąc sobą. Dziesiątki razy rodził je i wyrывał z siebie, a one nigdy nie syte, nigdy nie zadowolone, wracały wciąż i wciąż z wyrzutem i prośbą. Był więc ciągle w oczekiwaniu jak człowiek, którego czeka wielka i wzniosła praca, a on do jej spełnienia nie czuje w sobie siły.

Ta myśl, że on powinien i musi choć kiedyś przebyć te chwile porodu duszy, pętała go i opłatywała coraz więcej. W chwilach podnieceń i wiary w siebie pieścił się nią i pocieszał, jak nadzieją wy-tchnienia po spełnionem zadaniu życia, — w czasach zniechęceń i przygnębień ducha bał się jej i lękał, jakby katastrofy ja-kiejs.

A jeszcze więcej lękał się tego, żeby taka chwila zupełnie nadejść nie miała. Był niby matka, która się rozwiązania boi, a przecież o tem tylko myśli, czy dziecię jej pięknem będzie i czeka go z rozkoszą, zawczasu się pieszcząc przyczyną swych bólów. Więc się bał i lękał i pragnął za-razem, czekając z trwogą, jak mu ta przy-szłość jego ducha rozwiąże.

Nie były to jeszcze cierpienia wielkie, ukłócia bolesne. Raniły go lekko i nie-znacznie, od czasu tylko do czasu sącząc weń małą kropelkę bólu, która mu osiada-ła gdzieś aż na dnie serca.

Nie długo łudził się Orlicz myślą, że tylko z tego źródła gorycz będzie mu za-truwała duszę.

Młody, wrażliwy, zapalający się łatwo, zniechęcający jeszcze prędzej, rzucił się w życie, poddając się wszystkiemu, co ono przynieść i wywołać może. Nie oszczędziło mu też ono żadnego wrażenia, żadnego procesu umysłu, jaki jest właściwy takiemu wiekowi i takiemu usposobieniu.

Przedewszystkiem stracił wiarę.

Rzucił ją nagle, odrazu, przerzucając się krańcowo od bezwzględnej wiary do bezwzględnej niewiary. Uległ pierwszemu popędowi silniejszego wrażenia, nie mogąc się oprzeć jego parciu. Tam, w tych trawach, czuł tylko, że już jej mieć nie może — później i zrozumiał. Runęło mu odrazu wszystko i gruzy posypały mu się na głowę.

Po raz pierwszy wtedy przed Orliczem otworzyła się przepaść, której nie widział dna. Jej to się właśnie przeląkł wtedy i dlatego płakał.

Wrażenie to jednak zatarło mu się trochę i przesłoniło mgłą.

Wiary już nie miał, ale i od beznadziejności wszelkiej był jeszcze daleki. Życie roztaczało się przed nim, jak rozległe

morze, nie tracił więc nadziei, że z głębin jego coś jeszcze wydobyć zdoła. I choć na razie nic nie miał do podstawienia w zamian, ufnie patrzył w przyszłość, pewny, że to coś, co w nim umiało burzyć, potrafi przecież i budować także. Więc czekał tylko, szukał i badał, rozglądając się po świecie, czy nie ma tam jakiej prawdy, którejby już nie zupełnie zarzucić nie mógł, a w którąby uwierzył.

Tymczasem obywatel się. Czuł, że mu zabrakło jakiejś wielkiej podstawy, bez której życie zmieniało swoją treść i cel, ale sądził chwilami, że i tak od biedy żyć można: Dla niego treść zmieniła się tylko, nie zgasła, a na miejsce tamtego celu, mógł przecież znaleźć inny, może nie tak doniosły i wielki, ale zawsze cel, któryby go pchał przez życie. Nie miał go jeszcze, nie zdążył go stworzyć sobie, ale nie wątpił, że go w końcu znajdzie.

Wreszcie—w owej epoce—życie, choć i bez tej podstawy, nie wydawało mu się tak bardzo złem i niedorzecznem, żeby aż było ciężkiem i beznadziejnem. Więc nie

czuł nawet zbyt wielkiej potrzeby ulżenia go sobie jakąś wiarą.

Dla Orlicza wtedy pytanie „kto ja jestem“ zamieniło się na inne, mniej rozległe i ważne, ale za to niecierpliwsze i więcej wymagające: „po co ja jestem?“ Rozumiał, że życie nie może się składać z szeregu tylko niezwiązanych niczem chwil, że musi mieć ciąg jakiś, jakiś cement, któryby je spajał i coś z nich budował. Widział, że inni ludzie już mają cement taki, że mają swoje ideały, którym poświęcają wszystkie godziny życia i do nich dążą. Chciał więc i on mieć przed sobą cel taki, ale czuł, że musiałby on być już tak wielkim, żeby mu nie tylko czas swój, ale i siebie samego mógł złożyć w ofierze.

I kilka razy Orliczowi już się zdawało, że znalazł to, czego szukał. Porywała go jakaś idea, unosiła sobą, czas jakiś dążył do niej i każdą rzucał zniechęcony. To go zrażała drobna na niej skaza, to ci którzy z nim wspólnie pracowali dla niej, to znowu potrzeba nagięcia się do niej i przeobrażenia siebie. Zniechęcał się szybko i ła-

two z tą samą porywcznością, z jaką się rzucał do pracy. Nie miał cierpliwości i wytrwania rozbierać z nich każdą, wchodzić w jej treść najgłębszą, dopatrzeć się poza jej nazwą ludzi i ich potrzeb, które ją wywołały.

Wrażliwy na wielkie słowa, pociągany tylko ich czarem i oszalamiającem brzmieniem, gonił za wytworami własnej fantazyi, odrywając się od rzeczywistości. Życie, świat, ludzie, niby wielkie mrowisko, pozostawali gdzieś w dole, a ponad tem wszystkim jak opar unosił się jakiś odrębny świat idei, świat wielkich dążeń i celów, który żył sobie oddzielnie, mając swoje prawa, a z tamtym światem tyle miał wspólnego, że był dla niego, a nie z niego przeciw. Mrowisko miało słuchać, a te górne wyżyny oparu myślały za niego, stanowiły o niem, zbawiały je lub potępiały.

I Orlicz bujał w tych zamglonych sferach, gdzie wielkie słowa i hasła oderwały się już od swej treści i były niby cienie, co walki staczają. Obalał je łatwo i lekko, dziwiąc się ich niemocy, z coraz bardziej

rosnącym niepokojem w duszy, czy znajdzie coś przecie, o coby się oprzeć zdołał.

A myśli mu ciągle śpiewały i grały.

Coraz więcej usuwał się od świata i zagłębiał w siebie, słuchając tych myśli, jakie mu duszą płynęły. A one mu się składały w symfonie jakies śpiewne, to płynąc wolno i cicho, jak spokojne *largo*, to śpiesząc i nagłąc, jak prędkie *allegro*, to znów lekko igrając, jak niestałe *scherzo*. I różnie mu grały, to ciszej, to głośniej, to rzewnie i tkliwie, to huczno, ze zgiełkiem; i były, jak *piana*, co pieścza i koja, to znowu jak *forta*, co grzmia i zsyłają pioruny.

Wsluchiwał się wówczas sam w siebie, śledząc te myśli i tony, co w nim biegły razem, i duszą całą zespalał się z niemi.

A one go wiodły gdzieś w nieznane krainy, gdzie kwiaty śpiewały, siejąc lzy i zapachy, gdzie barwy dźwięczały, a dźwięki jaśniały, gdzie cisza nawet miała swoje tony i grała jak morze, co gdzieś szemrze w dali. One w nim płakały, jęcząc skargą i bólem, to znowu koily, pieśczać go i tuląc, to gaworzyły jak dziecię, zawodząc

wciąż zcicha, to grzmiały jak gromy, podniecając do walki.

I sam nie wiedział, czy to myśli w nim grały, czy tony myślały. On tylko biegł i biegł razem z niemi, płynąc, jak one, i szemrząc, jak one. Miał nieraz wrażenie, że go skrzydła jakieś niosą gdzieś po fałach przestrzeni, a on się w nich chwieje, to wznosi, to spada, kołysząc się ciągle gdzieś w podgwiezdnych sferach.

I Orlicz pisał znowu. Rodziły mu się pod ręką dziwne i powikłane poematy, gdzie panował chaos i pomieszanie tylko. Był w nich i zapał i rozpacz, i wiara i zwątpienie, były jakieś targania się i szamotania, były wszystkie uczucia, jakimi żyje kiedykolwiek człowiek. Sprawiały wrażenie jakiejś burzy żywiołów, jakiejś walki zacieklej, zamętu i zgiełku, gdzie wszystko się płące, wiruje i miesza z piekielnym chichotem i dziecka kwileniem.

Orlicz je niszczył i palił, a myśli swoje znowu wchłaniał w siebie. Były w nim, niby ptaki, rwące się do lotu i każdy w inną stronę, a on ich nie umiał sprzęgać i w jakąś jedność zespolić. Chwiały się

wszystkie oddzielnie, niby kropelki rosy, odbijając kolory i świecąc, jak skierki, a on czuł, że mu brak czegoś, coby z nich jedną tęczę ułożyć mogło.

Więc z coraz większem pragnieniem oglądał się w koło, szukając dogmatów jakichś, któreby mu żyć kazały, zsyłały rozkazy i przedewszystkiem w ciąg jeden ułożyły zwichrzone myśli.

Zrażony do żywych idei i życia, rzucał się do nauki i książek w nadziei, że choć z tego źródła może wyłoni mu się jakieś światło, za którym mógłby podążyć.

Usunął się od świata, zagłębił w dociekaniach i zgłębianiu wiedzy i znowu szukał i czekał. Czuł tylko, że mu wszelkie wierzenie przychodziło teraz trudniej, bo coraz mniej znajdował w sobie tych prostych strun duszy, któremi się ufa i wierzy w cośkolwiek.

Pracował przecież wytrwale, starając się pokonywać siebie.

Ludzie żywi i świat przestanieli mu się mgłą, oddalali, zacierali, a on patrzył na nich niby z oddalenia wielkiego, nie dostrzegając szczegółów i uogólniając wszy-

stko. Nie widział już jednostek, tylko grupy jakieś, kasty i stany i na nie rozpadł mu się świat cały. On z nich wyciągał esencje ich dążeń, potrzeb i myśli i każdy wyciąg taki nazywał odpowiednim imieniem. Wkrótce rzeczywistość zamglila mu się już zupełnie, a on miał tylko abstrakcje same, któremi szermował, ciągle w mniemaniu, że myśli o świecie. Dodawał je lub odejmował, mnożył lub dzielił, dziwiąc się, że się do wszystkiego ułożyć potrafią i że dają się wyciągać, jak guma, lub ścisnąć, jak puch.

Tworzył z nich najrozmaitsze kombinacje, układał je, jak chciał,—a każda była dobrą, każda dawała jakieś rozwiązanie. Za dużo jednak było tych kombinacji przeróżnych, żeby Orlicz nie miał spostrzedz, że wszystkie muszą być czcze i bezcelowe i nie zdadzą się na nic. Więc porzucił i to.

Nauka rozczarowała go również. Widział w niej dążności wprost przeciwne swoim i podcięło mu to skrzydła odrazu.

On dążył do skupienia i łączenia wszystkiego,—ona do podziałów i rozdrabniania ciągłego; on chciał syntezy—ona analizy;

on chciał iść z góry — ona szła z dołu. Pragnął jedności i zharmonizowania z sobą rozproszonych szczegółów, a ona jeszcze bardziej drobila mu to wszystko, dzieląc się sama na tysiące gałęzi z jedną dążnością wyodrębniania się z nich każdej i dzielenia jeszcze.

I zrozumiał, że jest to jej dążenie stałe i już niezmiennie.

Od Pięcioksięgu Mojżesza, który jeden starał się zawrzeć w sobie wszystkie umiejętności świata, nauka rozpadała się ciągle, dzieliła, drobila, specjalizowała, aż z jednej ogólnej prawiedzy utworzyło się ich tysiące. Karmiły go one mnóstwem faktów tylko, nie tłómacząc ich istoty i treści. Były niby jedno olbrzymie dowodzenie, w którym rzecz najważniejsza, bo wniosek, nigdy niedopowiadany, pozostawał w ukryciu.

Wtedy Orlicz pojął, że życie nie da mu już nic. Leżało przed nim, jak wyciśnięta cytryna, a on z przerażeniem widział, że ani on jej, ani ona jemu soków już swoich udzielić nie może.

Pytanie: „po co ja jestem?“ wymazywało się już samo przez się. Chciał dążyć do czegoś, chciał działać, chciał tworzyć, chciał wejść w grę świata, — a oto zobaczył, że był już wykluczony z niego i nie mógł nic. Świat biegł sobie gdzieś w dali, a on, odpryśnięty od niego, pozostał sam i nie miał o co rąk swoich zaczepić.

I znowu Orliczowi zaczęło się cisnąć pytanie: „czem więc ja jestem?“ Ten wielki cel, który go miał wieść przez życie, rozplynął mu się we mgle i okazał marą. Myślał, że nim zapełni tę przepaść, jaką ujrzał wtedy przed sobą, a ona tymczasem znów mu stanęła otworem i przeraziła próżnią...

Po długiej wędrówce powrócił nad samą jej krawędź, powrócił tam, skąd wyszedł, tylko już odarty ze złudzeń, zwątpiały w swe siły, goryczy pełen i zniechęcenia.

Wtedy Orlicz, nie odciągany już niczem na zewnątrz, skupił się tylko w sobie, słuchając szeptów swej własnej duszy i poznając jej potrzeby, trwogi i pragnie-

nia, Rozejrzał się raz jeszcze wkoło i widział, że został się sam, bez podpory żadnej, ani pomocy, oddany na pastwę własnej bezsilności. Przed sobą miał ciemność tylko wielką, której się bał, bo zrozumieć jej nie mógł, a w sobie przeświadczenie o swojej niemocy i pragnienie światła. Wówczas zrozumiał, co to jest wiara i do czego ona jest niezbędną.

Zaczął też jej znowu pragnąć gorąco.

Nie była mu już potrzebna, jako sternik życia i motor czynów, ale jako nadzieja, że jest coś więcej, czego by po za życiem spodziewać się można. Jeżeli nie tu, to choć już gdzieś tam niech będzie coś, czego by czekać było wolno.

I Orlicz czuł, że potrzebuje koniecznie ratunku, nie wiedział jednak, skądby on mógł przyjść.

Od świata nie spodziewał się niczego, bo był po za nim, a w sobie miał rozterkę tylko, jedno wielkie pragnienie jakiegokolwiek wiary i jedno wielkie z wątpienie o sobie i wszystkiem.

Czuł się jak roślina, wyrwana z korzeniem, którą wiatry miotają, dokąd chcą

i nie dają się nigdzie zaczepić. Życie wydało mu się ustawiczną wędrówką do jakiejś krainy, która nie istnieje, albo wielkiem spróchniałem drzewem, w którym pod liśćmi i korą nie ma wcale miazgi, tylko czarna pustka. A bał się tej pustki: i nie dlatego, żeby rzeczywiście pustą być miała, ale że on w niej nic dojrzeć nie mógł.

W końcu myśl o tem stała mu się męką. Coraz częściej miewał takie chwile, że widział w koło siebie czarność tylko, w którą nie było po co rąk wyciągać ani w zwątpieniu, ani w błaganiu. Choć się wzdrygał przed tą czarnością, byłby się chętnie zgodził i na nią, gdyby tylko miał tę pewność, że w niej rzeczywiście nic nie ma. Zapelniałby ją jedną wielką, wszystko obejmującą pustką i jeżeli już nie szczęśliwym, byłby przynajmniej spokojnym.

A właśnie ani tej pewności, ani tego spokoju nie miał, bo nie mógł się obronić myśli, że tam w tej czarności może być coś, co jest tą miazgą drzewa życia, co jest wytlómaczeniem, źródłem i ujściem wszystkiego, — a czego on dostrzedz tyl-

ko nie może. Więc szarpał się jeszcze i czekał, choć nie miał nadziei.

Majaczyło mu nieraz, że im większe obszary rozterka ta obejmować w nim będzie, im bardziej ta ustawiczna walka o bezwładni mu umysł i przytłumi swoją beznadziejnością, tem możliwość ratunku będzie bliższa, bo niezbędniejsza.

Odczuwał bowiem chwilami, że dochodzi do jakiejś granicy rozkładu ducha, po za którą przejść już niepodobna wprost dlatego, że i wszelkie rozsprzężenie kres swój mieć musi. Mogło więc nadejść takie przesilenie, kiedy samą siłą ścierających się żywiołów zapanowałaby między nimi harmonia choćby wskutek zupełnego wyczerpania. A wyczerpany był bardzo i spoczynku nie pragnął już, ale potrzebował.

Doświadczał nieraz dziwnego wrażenia. Oto zdawało mu się, że on w całej tej pogoni za tą niezbłą prawdą obrał mylną drogę i zamiast się zbliżyć do niej, oddalał się od niej ciągle, idąc precz w jedną stronę, nie zmieniając kierunku. Do stał się na jakąś wyżynę z błędnymi ścież-

kami, z której wyjścia odnaleźć nie mógł, a tęsknił za ziemią, którą opuścił niebacznie. Próżno z coraz większą rozpaczą rozglądał się wkoło, szukając drózek i ścieżyn, które dyby na dół zejść można, próżno pragnął spoczynku i ręce wyciągał ku ziemi. Wszędzie była stroma tylko krawędź, a ziemia gdzieś w głębi, jak spokojna przystań, nęciła go ku sobie, obiecując wytchnienie.

I coraz częściej przychodziło mu na myśl, — czyby już nie lepiej było, zamiast tak wciąż błądzić po ścieżkach, zrobić skok szalony, rzucić się odrazu na dół, choćby z narażeniem życia, byle tylko raz wreszcie dosięgnąć tej upragnionej ziemi i choćby skonać zaraz, byle nie w tem straszliwym błędzeniu.

W majaczeniach swoich Orlicz przeczuwał już, że tylko skok taki wywieść go z chaosu potrafi. Czekał jednak jeszcze, póki mu się głowa do ostatka tą przepaścią nie upoi, żeby nie czuć bojaźni przy tym szalonym skoku przez rozum do nieznanych głębin.

Jakoż nie czekał na to długo.

W życiu Orlicza w tym czasie zaszedł wypadek, którego wrażenie pozostało mu na całe życie, bo było mu ciężkiem i ogromnie smutnem: umarła mu matka. A kochał ją tak, jak się tylko matki kochać może, te dobre matki, które w swoich synach i córkach widzą świat cały i do późnej starości za małe dzieci je uważają. Ona go też uważała tylko za dziecko małe, nie szczędziła mu pieśczoł, lubiła przegarniać mu włosy nad czołem i w głowę całować.

On się poddawał wszystkiemu, — bo kochał jej ręce drobne i białe i lubił, kiedy mu na głowie spoczęły, — bo potrzebował nieraz czuć się kochanym i drogim komuś, — bo jednego go tylko miała, a on ją jedną na świecie.

Umieriała spokojna o siebie, z jedną tylko troską o niego, że tak sam zostanie, bez jej opieki i oka. Miała go znów odzyskać gdzieś na tamtych światach, — bała się jednak myśleć o tem, żeby zbytniem pragnieniem tego spotkania nie skrócić mu życia.

Wobec jej zwłok Orlicz po raz pierwszy uczuł już nie pragnienie, ale gwałtowną potrzebę wierzenia w coś, coby mu zapewniało byt dalszy, pozagrobowy i obcowanie dusz na tych innych światach. Dotychczas wzdrygał się tylko wobec tych ciemności, w jakie zapadła mu wyobraźnia, gdy myślał o tem i dlatego pragnął światła; teraz widział, że musi odnaleźć to światło, że musi je mieć za jakąkolwiek cenę, — bo stało mu się potrzebą.

Czekał przedtem na to zupełne upicie się głowy przed widzianą przepaścią — i oto teraz upoił się. Zaczął tylko myśleć o śmierci duszy — i stanął nagle nad samą krawędzią.

Jedna tylko myśl oszołomiła go odrazu: wyobraźnią swoją chciał podążyć za duchem tej zmarłej i zadał sobie pytanie, gdzie go szukać teraz?

A jeżeli nigdzie?

Świat taki wielki, ogromny, tyle w nim gwiazd i planet, i słońc, i przestrzeni, — a oto nie ma w nim miejsca dla tej jednej malutkiej duszy, tak drogiej jemu, tem droższej, że zgasłej i on napróżno prze-

biega myślą te nieskończone zaświaty, na próżno tęsknem okiem szuka tej swojej duszyczki, bo nie znajdzie jej nigdzie i nigdy...

Bo i nigdy także.

Światy się będą rodziły i gasły i prze-
radzały znowu, miliony wieków, jak tony
jednej nieskończonej gamy, zwolna i mia-
rowo następować będą po sobie, a on,
choćby szukał jej tak gdzieś aż do bez-
końców świata i czasu, nie znajdzie jej
nigdy...

I Orlicz teraz zrozumiał dopiero, co to
jest nigdy i czem grozi nicość.

Nieraz już przecie zastanawiał się nad
tem, nie po raz pierwszy wyobraźnia jego
starła się sięgnąć po za kresy bytu, a prze-
cie teraz dopiero wzrok jego dotarł aż do
głębi samych, aż tak gdzieś głęboko, iż
zrozumiał i pojął, że końca nie mają. Do-
tychczas myśl jego, trafiwszy na głębie,
ześlizgiwała się po niej w zwątpieniu o swych
siłach. Widział ciemność tylko wielką i co-
fał się przed nią, nie mając odwagi, ni
mocy zejść tam aż do niej.

A teraz zeszedł za tą duszą jedną, rozglądał się wkoło, szukał z utęsknieniem — i niemógł jej znaleźć.

Próżnia, jak morze, płynęła wciąż przed nim, a on nią leciał i leciał, zapadał i tonął, wciąż dalej i dalej, w nieustannej pogoni, — i końca nie widział. Otchłań ciągnęła go w siebie, wchłaniała, wsysała, aż mu tchu brakować zaczęło, — a nigdzie nie znalazł oparcia, nigdzie granicy, gdzieby przystanąć można...

Wtedy Orlicz pojął, że stanął u kresu i że, jeżeli nie ma oszaleć, musi w cośkolwiek uwierzyć.

Pozostawał mu tylko ów skok, przeczuwany oddawna...

Przyszedł mu łatwo i bez żadnej walki, bo już zmęczony był bardzo i w rozprężeniu zupełnem. Rzucił się tylko na kolana u zwłok zmarłej i wyszeptał zcicha:

— Musisz być, Boże, boś nam jest potrzebny.

.

Nie była to jednak owa wiara, która przenika duszę nawskroś, a przez to koi i uszczęśliwia. Zrodzona z niemocy w cier-

pieniu i wyczerpaniu, płynąca z potrzeby, a nie z przekonania, nie mogła całkowicie zapanować nad nim. Czuł w sobie jakieś rozdwojenie, jakieś dwa źródła światła, wykluczające się wzajem, a on jeszcze nie umiał kierować nimi, nie wiedział, co każde z nich oświecić powinno. Pełno w nim jeszcze było zwątpień i wahań, pełno pytań i zastrzeżeń, dużo myśli urwanych i niedokończonych dociekań. Rozumiał jednak, że jeżeli już istnieje ta Przedwieczna Istota, która rządzi i kieruje światem, to musi Ona być dobra i wyrozumiała, i przebacząca, a zarazem tak wielka wszechpotęgą swoją, że już Jej niczem urazić nie można.

Żył więc w takiej półwierze i w ciągłym rozdwojeniu, a tyle przynajmniej zyskał na tem, że w chwilach lęku i niemości miał się na czem oprzeć.

Doznał przytem niezmiernej ulgi. Ten miażdżący ciężar rozpacz i przygnębienia, który go ugniatał, usunął mu się teraz z duszy i pozwalał choćby cierpieć swobodnie. Przedtem nie miał nawet do kogo ręk wyciągnąć w bólu, skarżyć się

lub błagać, modlić się lub pytać; — teraz czuł jeszcze kogoś nad sobą i głos nie ginał mu, jak przedtem, w straszliwej próżni. Doznał więc takiej ulgi, jakiej doznaje człowiek w bezgranicznej rozpacz, kiedy zapłakać może. On się we łzach duszy rozplynał cały i teraz dopiero ból, co się w nim latami walki gromadził, zaczął mu przepętniać serce.

I Orlicz pytał wtedy: „czemże więc jest życie, jeśli nie cierpieniem?“

Oto żył już lat sporo i prócz rozczarowań nie doświadczył niczego. Chciał działać — i nie wiedział jak; chciał wierzyć — i nie wiedział w co, rzucał się w poszukiwaniach — i nie znalazł nic. Wszystko mu się rozpryskiwało w rękach, wszystko niosło tylko zawód, aż został wreszcie jak samotne na bezdrożu drzewo, z którego wichry wszystkie liście zwiały.

Prawda, iż rzucił się w końcu w jakąś półwiarę, — ale więcej w niej było rozpacz i wycieńczenia, niż ukojenia i otuchy. Nie splywała na niego, tylko on ją wydobywał z siebie, moc więc jej tylko od niego samego zależała. U ludzi, któ-

rych wiara przenika duszę tak, jak dusza przenika ich ciała, siła wierzenia słabnie przy każdym zwątpieniu, przy każdym zachwianiu się ich dogmatów, — u Orlicza zaś nateżenie jej szło odwrotną drogą. Im bardziej wątpił o wszystkim, im bardziej lękał się i bał, tem większą wzbudzał w sobie wiarę i z tym większym uporem powtarzał sobie: „tak być musi.“ A że chwile tego lęku i bezgranicznego znużenia przychodziły mu w cierpieniu wielkiem, więc tylko w ogromnem cierpieniu mógł czerpać ziarna otuchy z siebie.

Orliczowi też dusza, niby wilgocią, nasiąkła bólem i na ból tylko zrobił się wrażliwym. Uogólniając, jak zawsze, każde uczucie swoje i każde wrażenie, uogólniał teraz swoje cierpienie i rozłożył na wszechświat cały.

Z jakąś chciwością nienasyconą i gorączką palącą zaczął się wszędzie doszukiwać i dopatrywać cierpień i bólów — i znajdował je wszędzie. Kryły się one i pod maską śmiechów i zadowolonych twarzy, kryły po głębinach serc ludzkich i kryjówkach mózgów, tkwiły niby kolce

cierni i w duszach i w ciałach, a siały się same, niby ziarna kąkolu, zachwaszczając wszystko i przytłumiając sobą. Były jak gorycz, co wszelkie istnienie zatruwa sobą i niczem się wytepić nie da.

A Orlicz je wydobywał z tych mamiących obłonek, wyłuskiwał niby ziarna z łupiny, śledził i badał — i widział je wszędzie. Przebolały i przeczulony wchłaniał w siebie to tylko, co dźwiękiem swoim drganiom strun jego własnej duszy odpowiadać mogło, — i tem się karcił jedynie.

Nie zadawała się nawet znajdowaniem cierpień i bólów, rozsianych po świecie: on je odszukiwał jeszcze, wysledzał i tropił, z uprzedzeniem już z góry dopatrując się ich we wszystkim. Zrodziła się w nim i wzrastała z coraz większą szybkością zaciętość chorobliwa i żądza gorączkowa doszukiwania się wszędzie niedoli i nędz rozmaitych i nie miał spokoju, póki ich nie odnalazł. Napęłniały go one jakąś piekielną rozkoszą i upojeniem. Przeczuwał z nich każdą, przetrawiał i odbolał sercem, a jednocześnie upajał się sobą, że mu się tak dusza we łzach i bólach całego świata nu-

rza i że je wszystkie w piersi swojej zawarł.

I po raz drugi zdawało się Orliczowi, że się zlewa z wszechświatem, z naturą całą — i stanowi z nią jedność. Tylko, że tam w tych trawach, w ową noc letnią, drzemał, jak i wszystko, a teraz — cierpiał, jak wszystko.

Dopatrzył się bólu nawet w kamienia martwocie, nawet w wodach, co stoją i wiecznie stać muszą, nawet w rzekach, co płyną i wytchnienia nie mają, nawet w kwiecie maleńkim, że go robak toczy, nawet w robaku samym, że szkodą żyć musi. Cierpiało wszystko i on cierpiał za wszystko.

I teraz jedność była, ale już nie ta, co wtedy. Wówczas on się rozplynał we wszechświecie całym, — teraz wszechświat cały w nim się mieścić zdawał. Cierpieniem było wszystko, rozczarowaniem i nędzą, a on te nędze, cierpienia i bóle wchłonał w siebie, zrozumiał i odczuł, więc zawarł wszystko w sobie. Zdawało mu się, że stoi gdzieś w środku wszelkiego istnienia i jest dla niego wspólnem zlewiskiem.

Wszystko szło ku niemu, toczyło się, dążyło, jak do ujścia swego, a on to wszystko przyjmował w siebie, wciągał i wdychał i był niby sercem i płucami wszechświata.

I płynęły do niego strumienie i rzeki i morza całe.

Krew się w nich mieszała ze łzami i potem, a każda ich kropla miała historię swoją i była jak perła, co z wrzodu powstała.

Krew z ran się sączyła ludzi milionów, którzy za mary walczyli i ginęli za mary. Płynęła żywa jeszcze i gorączką spalona, a każdą drobiną swoją zdawała się pytać:

— Za coście mnie przelali?

Orlicz przyjmował ją w siebie, mieszał z własną krwią swoją i, słuchając jej szeptów, pytał napróżno:

— Czemu przelewać ją trzeba?

Pot dymił jak ukrop, bo gorący był jeszcze i płynął falą szeroką. Powstał ze znojów wielkich i trudów wszelakich, a wyciśnięty był męką i mazołem wiecznym. Płynął ciągle i ciągle, nieprzebranem kory-

tem, coraz bardziej się wznosząc, a bez chwili wytchnienia.

I pytał wciąż szeptem:

— Gdzież są dzieła moje?

Orlicz przyjmował go w siebie, mieszał z potem własnym i słuchając szeptów jego, pytał napróżno:

— Czemuż wyciskać go trzeba?

To znowu łzy płynęły. Tych niewiele było, ale szła od nich gorycz i żar palący. Wylały je niedole wszelakie, ciche smutki i skargi, krzywdy i boleści. Toczyły się kroplami, niby różne kamyki, tylko ciężkie bardzo i gorące bardzo. A były tak małe, jak łzy dziecka, gdy kwili, to znowu tak wielkie, jak łzy starca, gdy płacze.

Płynęły powoli i zawodziły zcicha:

— Czegośmy płakały?

A Orlicz i te także zwolna wsącał w siebie, mieszał ze łzami swojemi i słuchając ich żalów, pytał znowu napróżno:

Czemuż płynąć muszą?

Górami jeszcze nad tem, niby wiatru powiewy, leciały skargi i jęki, westchnienia i zgrzyty, krzyki przekleństwa i rozpacz.

Wydzierały się z milionów piersi, wyrwane z nich cierpieniem, a choć cicho jęczały, nic oprócz siebie nie dawały słyszeć. Zdawało się, że to wiatry płaczą. Były niby łkanie świata, który gdzieś w dole pod niemi szamotał się i szarpał, i wił wśród boleści.

Orlicz te rozełkane wichry wciągał w siebie jak oddech, a one mu jeszcze w piersiach szemrały wciąż bólem i tłukły się, jak ptaki, strwożone ciemnością.

Zbierał obfite żniwo. Rozsiał smutki swoje, rozłożył na barki świata, wyrrywając je z siebie, rozpostarł na wszelkie istnienie na ziemi, a oto one znowu powracały do niego, tylko większe jeszcze i bardziej bolesne, bo nabrzmiałe tem wszystkim, co spotkały po drodze. Skupiał je w siebie, gromadził i wciskał, a one mu się wszystkie, jak warstwy naboju układały w piersi i czekały wybuchu.

I zdało się Orliczowi, że znalazł wreszcie to, czego szukał tak dawno.

Owa miazga istnienia, ów pień wspólny dla wszystkich objawów życia, owo podścielisko i przeznaczenie wszystkiego, co tylko istnieje—to było cierpienie.

Dokoła niego, niby nitka na kłębku, wiło się życie i jego zadania i nic w nich nie było na dnie, tylko ono samo. Dla niego żyło wszystko, dla niego pracowało; ono było wytłómaczeniem, ono źródłem i ujściem wszelkiego istnienia.

Rodziło się z poczęciem, zespalałając się z życiem, towarzyszyło mu jak cień i zawsze i wszędzie, a konało ze śmiercią.

Ani chwili wytchnienia, ani chwili wyzwolenia, ani chwili spoczynku — tylko jedno cierpienie, ono zawsze i wszędzie...

.

Myśli mu i teraz grały. Nie tłoczyły się już jednak bezładnie i chaotycznie jak przedtem do rozpalonej głowy, tylko się układały w kompozycje całe, niby symfonie lub sonaty wielkie, w które on duszę swoją całą wlewał. Coraz częściej miał chwile zasluchania jakiegoś, zatapiania się w tych pieśniach swoich myśli.

I dziwną różnicę widział w nich teraz. Przedtem rozpraszały mu się one, rwały i dzieliły na ułamki i drobiazgi, nie zespolone w żadną ciągłość jedną, — teraz ich melodia płynęła nieprzerwanie, wywiązy-

wała się jedna z drugiej, biegła jednym wspólnem łożyskiem, skupiając do siebie rozstrzelone pierwej tony.

I w duszy jego składała się z nich jedna wielka sonata—sonata cierpienia.

Niby w orkiestrze jakiej, w duszy mu grały wszystkie instrumenty, z których ton dobyć można. Napinał ich struny, wyprężał je i skręcał, a one za lada ich tknięciem odzywały się same, śpiewały i grały w takt harmonii niebiańskiej, której wzór czerpał skądś z góry, na skrzydłach natchnienia.

I były tam wszystkie tony. Biegły prędko, z wściekłością, jakby zawzięte na siebie, to znagła strzelając, jak pioruny wśród burzy, to warcząc tylko głucho, jak odgłosy gromu, gdy zdaleka dolata.

To znowu rozlewały się zwolna, jakby leniwie, niechętnie, niby w siebie wsłuchane i dla siebie płynące. Zdawały się upojone zachwytem nad tą muzyką własną, albo zbolale i smutne, ledwo się skarżyć mogące. I raz dźwięczały tak cicho, że niemal milknęły, jak szelest skrzydeł komara, zlekka wiatrem niesiony, to znowu

huczały, jakby łoskot grzmotu, gdy się w chmurach przewala.

I iść się zdawały czasem z oddaleń tak wielkich, jak niebios muzyka, co ją słyszy poeta, a czasem znienacka skakały do uszu, rozdzierając je zgrzytem lub pieszcząc, jak dłonią. A wtedy raz duszę nękały przecuciem piekła katuszy, to ją miękko spowijały w cudne harmonii osłony i tak nieść się ją zdały z melodyi powiewem gdzieś w raju krainy.

Tak w nim płynęła melodia nieprzerwanym strumieniem, a on ją dobywał wciąż z ducha swojego i z tego morza łez wszystkich, zgryzot, cierpień i bólów, co je z całego świata zgromadził przedtem w siebie. Dźwięczała w niej historia wszelkiego bytu na ziemi, cała epopea skarg, jęków i rozpaczy, jakimi od poczęcia wszechświata był on udręczonym. Więc się w niej plątały wszystkie istnienia tony. I skoczne, taneczne, a smętkiem podszyte, jak radości i uciechy, co szybko przechodzą, a złe nasiona mają,—to smutne i rzewne, jak niedole i trudy, co ludzi zjadają,—to wielkie, szerokie, w niebiosą bijące, jak ogromne

nieszczęścia, co dusze druzgocą. Ufność i zwątpienie, rozczarowania i nadzieje, podniety i przygnębienia zmieniały się kolejno jak gra światła w zorzach polarnych i tworzył się z nich jakiś korowód jeden to ducha stanów, to wydarzeń życia, co wiecznie pędzą człowieka ku jakiejś mecie nieznannej i nigdy mu „dosyć“ powiedzieć nie dadzą.

A poprzez to wszystko, niby wstęga przez otwory koronki przeciągnięta, wiła się jedna nuta, jakaś wysoka, napięta, która ciągle dźwięczała, mącąc wszystkie melodye. Była monotonna, bo jedna, i płaczliwa, bo cicha, a dręczyła ucho swoim jękiem miarowym. Zdawała się skarżyć ciągle, zawodzić i piszczeć, jak arfa eolska, co wciąż skrzypi na wietrze, i wracała uparcie, narzucając się raz po raz, jak zgrzyt zawias zardzewiałych lub przeciągłe jęczenie, dochodzące zdaleka. Szła melodia za melodia, przechodziły całe ustępy sonaty, a ta nuta płakała i płakała, jęczała, zgrzytała, zawsze jedna i jedna, dręcząca, nużąca, zawsze jękliwa i smutna.

I Orlicz rozumiał tę nutę wciąż jedną, co mu się w myślach wiła, jak nić czarna w wzorzystej tkaninie. Ten jęk jej przewlekły to był ton bólów wszystkich, to były łzy i smutki, jedną nutą drgające.

Toczyło się życie w sonatę zaklętą, przewijały się chwile to wielkie, to małe, z których się istnienie niby mozaika z kamyków układa, padały krzyki ogromne, z płuc olbrzymów wyrwane, to westchnienia maleńkie, cichym szeptem jęcane, — a poprzez to wszystko, jak nić przez korałe, snuły się łzy i nędze, znikomość i marność. To niedola świata, niby nitka paciorki, nizała na siebie wszystkie chwile istnienia i była osnową, na której się snuły. To ona, to ta niedola, ta nędza, ta znikomość i marność mąciła harmonię wszelakiego bytu; to ona, ta niedola i marność była osnową i zmorą, podkładem wszystkiego i udręczeniem wiecznym. Dlatego też jękliwą była i upartą, dlatego też męczyła i łzy wyciskała, a była smutną, tak smutną ogromnie, jak dusza tułacza, co się kołata po świecie.

Miał więc teraz Orlicz to, czego tak pragnął oddawna. Dusza mu się rozspiewała jedną pieśnią olbrzymią i brzmiała szeroko, cały świat obejmując. Rozstrzelone dawniej tony zlewały się teraz w jedną potężną harmonię, w jedną sonatę ogromną, a którą on w myślach ochrzcił Sonatą Cierpienia.

I już nie było w niej rozdźwięków żadnych. Układała się sama w jeden ciąg nieprzerwany, wiązała się i snuła z wszystkich nici ducha w jeden wzór harmonijny. Była tą pieśnią wielką, o której on marzył zawsze i której czekał z utęsknieniem i obawą, jako pienia, co jego ducha w sobie zawrze i będzie mu jedynym wynikiem życia. I oto nadeszła ta chwila. Pienie przepelniało go po brzegi i trzeba je tylko było wyrzucić z siebie.

I czuł, że choćby płuca miał zerwać w tem pienu, śpiewać już musi. Sonata Cierpienia oplątała mu umysł, pożerała wszystkie jego myśli i była niby wrzód ogromny, co mu na duszy nabierał.

Kiedy w chwilach niemocy i zmniejszonego napięcia energii natchnienia przy-

chodziła mu myśl do głowy, że mu zbraknie siły w chwili tworzenia i poroni swe dzieło, czuł, żeby się to sprzegło z jakąś potworną katastrofą i dla niego samego. Bo już nie chciał, nie pragnął tworzyć, ale musiał. Jeżeli Sonata miała być dziełem wielkiem i jednym z pomników myśli człowieka, — nie poczuwał się do żadnej zasługi, że ją tworzył. Musiał ją wylać z siebie nie dla stworzenia dzieła, tylko dla uwolnienia siebie od tego opętania, jakie go dręczyło.

Nie było mu bodźcem pragnienie sławy lub kochanie Sonaty jako dziecka swego: widział, że tyle męki, jaką mu nieraz sprawiała, nie oplaci żadna sława, żadne hołdy uznania, a sonaty, choć to było jego serce własne, jego mózg i dusza, nienawidził nieraz, jako zmory straszliwej, jako upiora, co mu wszystką krew z niego wypijała.

Dlatego też bał się i lękał, czy ją tak potrafi odrazu wyrwać z siebie, żeby mu nie wróciła znowu, jako wyrzut sumienia lub nowe opętanie rodzenia jej raz drugi.

Bo wtedy mogłoby mu i sił zabraknąć i wiary, że wreszcie znajdzie spokój.

Więc czuł, że się zbliża do katastrofy wielkiej. Mogła go porwać w zamięcie, jak huragan żdźbło słomy, miotać nim i targać, i rzucić wreszcie z połamaną duszą, odartego z ostatnich zapalów, jakie w nim jeszcze tlały.

O życie nie szło mu wcale. Gdyby mógł za cenę jego zdobyć wielkość swego dzieła, rzuciłby je bez wahania, nie żałując ofiary. Bo miał nieraz dziwne pragnienie. Zdawało mu się chwilami, że on tę Sonatę Cierpienia wygrywa na skrzypcach jakichś, trącając zlekka struny. One dźwięczą cicho, a melodia płynie. Płynie i płynie, rozlewa mu się po duszy, aż gdzieś ginie na gwiazdach, w nieskończoność rozbrzmiewa. Wszystko słucha w zdumieniu i tonie w zachwycie, a on na skrzypkach swoich dobywa takie tony, jakich nieba dotąd nie stworzyły wzoru. Nietylko już skrzypce grają. Od zenitów do zenitów jego dłoń twórcza poprzeciągała olbrzymie struny i cały ogrom wszechświata, pijany melodyą jego cudnej pieśni, gra z nim ra-

zem, śpiewa, kołysze się, chwieje i omdlewa w rozkoszy...

A wtedy z niego wyrywa się jedno nieprzeparte pragnienie. Oto chce, żeby mu się dusza zerwała w ostatnim struny drgnięciu i z dźwiękiem ostatnim rozlała w przestrzeniach, ginąc tak pięknie i cicho jak melodyi skonanie.

Czekał więc tylko chwili, kiedy mu ta sonata sama z piersi wybuchnie. Nie była sztuką żadną lub grą słów wielkich i silnych, lecz miała w sobie coś z mocy żywiołu, który sam się wydierał z ukrycia w przestworza. Nie Orlicz był jego panem, lecz żywioł nim władał. Więc mu służył w pokorze.

I tak dni mu schodziły w nieokreślonym uczuciu to nadziei, to zwątpień. Tylko konieczność tworzenia tłoczyła go coraz mocniej, tak że go dusiła niemal.

.

Aż wreszcie zaczął pisać. Owładnęła nim gorączka jakaś i dziwny stan ducha, w którym świadomość uśpienia i halucynacji łączyła się z jaskrawą wrażliwością

na urojenia wyobraźni. Czuł, że pisze ni-
by we śnie, oderwany od rzeczywistości,
a zatopiony cały w tym idealnym świecie
iluzji i marzeń, które wysnuwał z siebie.
Oplatał się niemi, niby owad swą przedzą,
i tak szybował w tym ulud obszarze, gdzie
już świat żywy zniknął mu z przed oczu,
a powstał nowy, jego wyobraźnią stwo-
rzony. Był mu rzeczywistszym jeszcze
niżli rzeczywistość sama. Czuł go i wi-
dział, i dotykał niemal, a czego w nim
brakło, to z siebie dotwarzał.

I pisał ciągle, gorączką spalony, w oba-
wie wielkiej i w ekstazie upojeń. Bóg
wie, ile wrażeń, ile uczuć przechodził w tych
chwilach pisania. I radość i smutek, tar-
gały mu duszę i miewał nieraz chwile, że
nienawidził dzieła swego, to znowu je ko-
chał i życieby oddał za nie. Rzucił sło-
wa i myśli, niby serca kawały, a każde
słowo takie było częścią własnej duszy je-
go, i chociaż oderwaną już od niej, a prze-
cież żyjącą z nim wspólnie. Miał nieraz
wrażenie, że ten poemat cały — to jego
dusza druga. Oddawał jej wszystko, co
tylko miał w sobie. Odzierał się z uczuć,

ogałać z myśli, wysilał z sił swoich i porywów zapału, a jej dawał wszystko, jej tej duszy drugiej, żeby piękną była, a silną i wielką.

Całe życie jego złożyło mu się na tę jedną chwilę. Co lata długie gromadził i zbierał, co mu się kropla po kropli wsaçało powoli — teraz oddawał z siebie, wyrzucał w wybuchu.

I tak powstała „Sonata Cierpienia.“

Wsluchany w siebie, wsluchany w te śpiewy duszy, co mu się w melodye różne składały, bezwiednie pisał w takt muzyki jakiejś, zachowując jej rytmy i tempa wciąż zmienne.

.

Więc w prędkim *allegro* ścigała się żywo mozolność prac ludzi z ich pragnień mijaniem. Tłoczyły się tony, goniły, spychały, jedno w drugie zachodząc, jedno drugie spędzając, coraz prędzej i prędzej, coraz śmielej i naglej. Latały pasaże, kłóciły się tryle, a muzyka biegła w rosnącym wciąż tempie. Pędziły więc tony niby zawzięte na siebie, to się goniąc za-

ciekle, to krzyżując po drodze, a żaden z nich nie mógł pełnią dźwięków rozebrzmieć. Ginęły w tym pędzie przez nadbiegłe zduszone, zanim echo ich mogło po przestrzeni się rozbiedz.

I tak biegła muzyka.

Z urywanych wciąż tonów, zewsząd w jedno zganianych, złożyła się w końcu wielka dźwięków kaskada, z wielu tonów powstała, a jednym szmerem hucząca.

I była to wieczna wszystkich ludzi praca nad gmachem ich szczęścia. Już od poczęcia swego na pragnienia skazani, chcieli choćby przez mozoły i trudy pragnienia te spełnić. Więc pracowali uparcie od zarania lat swoich, żyjąc tylko przyszłością, kiedy rozkoszy zaznają. Nadchodziły jednak ciągle pokolenia wciąż nowe, niosąc swoje potrzeby, swoje pragnienia i cele, i gmach, choć nieskończony, już był dla nich za starym. Więc przerabiano, burzono, przestawiano, wznoszono, zawsze z planem odmiennym, bo starzały się dawne, a budynek stał pusty i zaledwie zaczęły, bo go nikt wznieść nie zdążył przed końcem dni swoich.

I tak w trudach, mokołach i przyszłości czekaniu schodziły dni ludziom bez pożytku żadnego. Nadchodziły, jak fale, pragnienia wciąż nowe, jedne drugie spychały, jedne drugie zwalczały i nim ziścić się mogły, bywały stłumiane. Walczyła zabiegliwość skrzętna z coraz rosnącym pożądaniami i tak migały wciąż pragnienia, ledwo zrodzone już zgrzybiałe.

Aż utworzył się z tego jeden wyścig olbrzymi pożądań wciąż nowych, wciąż nowych zabiegów, który w czasów przestrzeni zbiegł szybko i chyżo, jak tony *allegra*, co się gonią zawzięcie.

Mijały ustępy całe tej dziwnej muzyki, doganiały się takty, wyścigały tony, a żadna nuta nie mogła swego echa się dobić. Ledwie tylko zrodzoną zabijały wnet inne, przecinały, gasiły, głużyły, tłumiliły i wciąż pędem leciały coraz dalej i dalej, coraz prędzej i prędzej ku własnej zagładzie. I tak biegły, pędziły, między sobą skłócone, każda z życia pragnieniem, każda ginąc po drodze.

Wreszcie zwalniać poczęły.

Przycichłe, osłabłe, łagodniały w znużeniu i coraz wolniej się tocząc, przeszły w spokojne *andante*.

Zdawały się nie biegnąć, lecz płynąć. Rozmarzone i senne, poprzednią żywością zmęczone, pragnęły teraz wytchnienia i dążyły do niego. Układały się też cicho jakby na powierzchni wód toni i spokojnie, miarowo razem z nią żeglowały. Toń się marszczyła po wierzchu, one drżały też zlekka, toń płynęła w dal ciągle, one z nią wspólnie sunęły, a zawsze miarowo i sennie, zawsze spokojnie i wolno, zawsze łagodnie i lekko. A wietrzyk powiewny, co wody falował, a fale całował, leciutko, wolniutko zwiewał razem tony i mieszał je, łączył, zadzierzgał i wiązał.

I z tych powiązanych tonów uprzedła się pieśń jedna.

To łzy i smutki ciche wśród łagodnych pasaży zawodziły nad sobą i skarżyły się losom. Jakieś tłumione łkania, jakieś głębokie szlochania podrywały wciąż tony, pękały serca jakieś, zanosily się płaczem piersi, a wszystko to się zlewało w jedną skargę ogromną i płynęło powoli,

udręczone, zbolełe, cierpieniem przybite. Uskarżali się niemi, kalecy i ślepcy, że byli niewinni, a w przekleściu powstali; — zazawodziły sieroty, że im matki pobrali, a matki jęczały, że dziatki im marły; — płakały starce młodości, że zbiegła im szybko; złorzeczyły młodzieńce, że wcześniej pogasły.

I tak pieśń ciągle płynęła. Łkały strasznie wioliny, uskarżały się basy, tony płakały, szlochały, wzdychały, kwiliły, a coś ponad niemi zdawało się ręce łamać w bólu i jęczeć straszliwie.

W końcu tchu już nie stało.

Jakiś przeraźliwy ucisk, jakieś bezmierne znużenie ogarnęło rozłzawione tony, zaczęły się tłumić, zadławiać i dusić, a tylko ich echo, co sobie ręce łamało z bólu i włosy rwało z głowy, zalkało teraz okropnie. I choć pieśń się urwała, to przerażone echo przedłużyło jej trwanie, bo łkało... łkało... i łkało...

.

Zamilkłe na chwilę tony odezwały się znowu.

Gdzieś z krańca niebios odbite łkań drzenie przyplęnęło nad struny i musnęło je w powiewie. Struny zabręczały cicho i rozśpiewały się znowu.

Rozskarżone, zbolale i ledwie już szemrzeć mogące, rozlały się teraz w śpiewne i łzawe *adagio*. Coraz czystsze, wolniejsze, coraz słabsze i cichsze nadpływały powoli, lekko drżały chwil kilka i odpływały dalej, niby senne widziadła. A melodia, co jest muzyki poezją, poczęła zbierać te gasnące szmery, poczęła je wiązać i skupiać, rozkładać i składać i usnuła z nich w końcu modlitwę błagalną.

Więc rozmodliły się tony, przestały jęczeć i płakać i już błagały tylko. W jakimś nadziejskim zachwycie, w jakimś upojeniu ekstazy, rozbłagane i rozgorzałe słały do niebios swe prośby. Modliły się o pokój wieczny, o wytchnienie i litość, błagały o ciszę dla świata i ukojenie dla siebie; prosiły, by łzy biedz przestały, a smutki zniknęły, by ludy w szczęściu żyły, a miłości i zgodzie.

A śpiewne *adagio*, co się w melodję rozlało, podchwytywało ciągle tony

i, wiążąc je spolem, kołysało niemi. Więc się chwiała melodia w tej rozmodlenia ekstazie, to się wznosząc ku górze, to na dół spadając. Gdzieś ku niebiosom się pięła wśród łagodnych falowań po łaskę i światło i litościwe wejrzenie, a w dół się zsuwała, rozlewając się wolno, niby zmęczona, osłabła, żeby siły zaczerpnąć. I tak bujała się ciągle, piętrzyła, zniżała, niby morza powierzchnia, gdy ją wiatr rozkołysze.

Aż w końcu apoteozy hymnem zaczęła iść wciąż ku górze, coraz wyżej i wyżej, coraz prościej i chyżej, gdzieś pod same niebiosy, gdzieś pod same błękity, — aż i znikła tam wreszcie... A echa, jakie się stamtąd rozbiegły, poczęły cichnąć i daleć, rozpraszać się, rozwiewać, wycieńczać i słabieć. I tak niknęły i cichły, cieniały... gasnęły... aż i zmiłkły zupełnie.

.

„Ruszajcie precz! Pociście tu? By spokój mój wasz zmaćił pisk? — zawołał głos z za niebios wrót. — Ni waszych skarg, ni waszych łez, ni waszych mąk, ni cier-

pień łkań nie widzi nikt, nie słucha nikt. Tu pustka jest i jam jest nic i byłem nic i będę nic. Nie pnijcie się — daremny trud: tu tylko trwa — okrągłe nic! Jak wszystko jest, tak dobrze jest i będzie tak po wieków wiek. Daremny trud — ruszajcie precz: tu nie ma nic, zupełnie nic...“

Taki-to figiel *scherza* był.

.
.

I poszły precz rozskarżone tony i jako bywa w nieszczęściu a krzywdzie — skłóciły się z sobą.

.

I huknęły odrazu. Zaczęły coraz gwałtowniej nacierać na siebie, jakby się ścigając i goniąc we wściekłym zamęcie i przeszły w huczący finał. Tu już szalał świat cały.

Po - przez bezmiary nieskończonych przestrzeni, po odwiecznych torach swoich latały koliska światów w rozpędzeniu szalonym. Z piekielnym rozmachem wirowały wśród bezdni przepaści, pędząc cią-

gle i ciągle, niby garść wielka śrutowin, wystrzelona z olbrzymiego działa. A każda kula taka jęczała w przebiegu: „wytchnienia choć na chwilę! czemuż tak lecieć musimy?!“

I z tych krzyków jęczenia powstał jeden wrzask straszny, który sobą zappełnił wszystkie przestrzenie i sfery tak, że nic w nich nie było, tylko ten wrzask straszliwy. I tak kule latały nie w eterach, lecz w jękach.

Obracały się koło planet księżyce, latały po orbitach planety, przewalały się wielkie mgławice, pędziły słońca i gwiazdy, aż w tym piekielnym zamięcie rozwirował się wszechświat wszystek. Tylko komety błędne z roztarganym warkoczem, jakby przerażone i blade, szukały próżno drogi, błakając się wiecznie.

Po-przez bezkrańce światów, po-przez bezkońce przestrzeni, po-przez bezmiary bezmiarów przelatywały systematy całe, to raz u szczytów zenitu, to w głębinach nadirów. Rozpędzone, rozmachane, rozhukane i rozszalałe waliły, jak wściekle, po-przez ciągle przepaści, staczając się w bezdnie,

to strzelając do góry. I wyły wyciem straszliwym: „ukojenia! wytchnienia! litości! spokoju!“ A zamęt piekielny porwał je znowu, przewalał, popychał i rozrzucił w bezmiary, niby iskry rakiety, wystrzelone w błękity.

Tylko wicher przestworny, tylko huragan wszechświatowy, jaki się z tych kółowań między kulami wytwarzał, szalejąc w rozpasaniu, poganiał jeszcze światy, podbijając je w biegu. A że nie z eterów powstawał, lecz jęki pędził sobą, więc był przeraźliwie i na jęczenie światów piskiem tylko odpowiadał i zgrzytem.

W końcu dopełniło się.

Niewidzialna ręka olbrzymiem siły napięciem zmała tory światów i skotłowała je z sobą. W szalonym tym rozmachu jedno z kulisk pędzących potrafiło o drugie, to o trzecie i czwarte, tamte jeszcze o inne i tak się rozpoczęło konanie wszechświata.

Runęły w przepaść światy, waliły się słońca i gwiazdy, przewracały się w bezdnie systematy całe, a chaos piekielny ogarnął przestrzenie. Kule się spotykały, zde-

rzały, pękały, pryskały, to na proch się zbryzgując, to w kawały lecąc, a rumowiska światów, ich szczątki i gruzy waliły się gdzieś ciągle, w jakieś ciemnie straszliwe.

Pogasły słońca wszystkie, zmroczyły się planety, księżyce, a ciemność bezdenna pokryła agonię ostatnią. I tylko łoskot okropny walenia się światów, tylko huk, zgielk i łoskot tłukących się globów, tylko chrobotanie piekielne zmiżdżających się kulisk przepelniały sobą próżniejące przestrzenie.

Beładna gruzów gromada, niby cmentarzysko świata, zawisła wśród próżni i dogorywała powoli. Coś się w niej burzyło, kipiało, warczało i kotłowało okropnie, przewracając się ciężko i jęcząc chrapliwie.

Było to rżenie, agonja wszechświata.

Wtem huk piekielny, straszliwy, huk pierwszy i ostatni w całym ciągu istnienia, huk, jakiego przedtem i potem ani było, ani być już nie miało, raz jeszcze rozdarł próżnie i obiegił przestwory. To istnienie skończyło się wśród spazmu konwulsyi.

Zagrzmiały wszystkie pioruny, roz-
 wyły się huragany, rozpekły wszystkie
 grzmoty i w rozpasaniu wściekłym huknęły
 odrazu.

Rozprysły się czasy, zawaliły prze-
 strzenie, rozproszyły byty—i nastąpiła nicość
 i cisza

.

Sonata Cierpienia była skończona.

.

W pół roku później wielka sława opromie-
 niła imię Orlicza. „Sonata Cierpienia“
 poruszyła umysły, podniecała uczucia, stała
 się powodem walk zaciętych i sporów go-
 rączkowych, wywołała ruch serc i mózgów.
 Witano w autorze nowy i oryginalny ta-
 lent, rokując mu wielkie nadzieje.

Ogół został podbity odrazu, olśniony
 siłą i ogniem talentu. Dzieło rozchwyty-
 wano gorączkowo, czytano, przejmowano
 się niem lub oburzano,—czytali je przecież
 wszyscy i mówili o niem dużo, przyznając,
 bez względu na punkta zapatrywań, wielki
 talent twórcy.

Autor, jak przyznawali nawet niechętni, umiał grać na nerwach i mózgach ludzkich i wygrywał na nich, cò tylko chciał.

Byli i tacy, którzy rokowali, że poezya, znowu stanie się mistrzynią i kierowniczką czynów ludzkich, jak nią była dawniej, w czasach wielkich czarodziejów słowa. Ludzkość, utrzymywano, jest już znużoną bardzo, ogołoconą z wiary i zwątpiała w swe siły; wyniszczyła się zupełnie bezowocnymi walkami i wieczną pogonią za światłem przewodniem. Stąd więc wnioskowano, że poezya mogłaby jeszcze odegrać jaką rolę, porywając entuzjazmem rozkładające się umysły — tylko musiałaby być wielką i krzepiącą ducha.

„Sonata Cierpienia“ już samą siłą wywołanego wrażenia zdawała się świadczyć, że to zadanie poezyi grać na duszach ludzkich potęgą i czarem nie jest niemożliwem. Bo choćby już porwać i rozkazywać nie miała siły i mocy, mogła przecież koić i uciszać bóle.

I na Orlicza wtedy zwrócono spojrzenia. Sonata dała mu nietylko rozgłos i sławę

wę, nietylko uznanie talentu i potęgi słowa. Dała mu ona jeszcze dziwne jakies zaufanie wszystkim w szczerość tego, co mówił i wiarę, że to, co jeszcze powie, będzie tak samo przeczute i przemyślane, z głębi duszy wyrwane, jak ta spowiedź bólów. W „Sonacie,” niby w zwierciadle, ujrzeli wszyscy swoje nędze i smutki i czuli, że ten, co je tak opisał krwawo, musiał mieć, jak i oni, tylko bardziej jeszcze, duszę rdzą zwątpienia stoczoną. Więc gdyby ta właśnie dusza, ta przepojona bólem i już doświadczona cierpieniem, uwierzyła w coś przecie i promyk światła ujrzała,—możnaby łatwiej w jej szczerość wierzyć, a promyk taki—może i uwierzyć. Bo często ludzie, gdy chorzy są bardzo, przejmują leki od wyleczonych niemi z tych samych chorób. Więc i na Orlicza spoglądali chorzy, czekając, co go uleczyć potrafi.

A Orliczowi tłumem cisnęły się teraz wrażenia i myśli. Rozgłos i sława spadły na niego znienacka, niespodziewane i nieoczekiwane. Dzień niemal każdy przynosił mu jakieś echo wywołanego przezeń rozgwaru i każdy dzień taki zdawał się ten

rozgwar powiększać jeszcze i rozszerzać. Leciały do niego wieści sławy, jak jaskółek gromada, a każda z nich znaczyła swą drogę, jakby szlakiem świetlistym. I z tych nici promiennych tworzyła się koło głowy jego aureoli korona, w której chodził, jak w słońcu.

Wśród tej wichury uczuć, jaka nim teraz owładła, dwa górowały nad innemi: poczucie swej sławy i wrażenie jakiejś szerszej przestrzeni, na jaką się wydobył teraz. Dusza jego niby przejrzała jakimś zmysłem nowym i to, co nim poznawał teraz, zdawało się ją aż oslepić swoją niespodziewaną nowością.

Z początku jednak sława tylko pochłaniała go zupełnie. Po dniach pierwszych upojeń i oszołomienia. jakie ona sprawia, zaczął pracować umysłem, ażeby ją nie czuć już tylko, ale i rozumieć.

Bo nie na długo mu starczyło samo poczucie się do niej. Kiedy, po raz pierwszy rzekł sam do siebie: „więc jestem sławnym,“ zdawało mu się, że są to dopiero pierwsze wyrazy jakiegoś wielkiego łańcucha myśli i uświadamiających się wra-

zeń i że tuż za niemi popłynie cały ich szereg, niekończący się prawie. Tymczasem odrazu spotkał go zawód. Cały wybuch uczuć mieścił się tylko w tych kilku wyrazach i dalej nie wiedział, co ma dodać jeszcze.

O sławie marzył kiedyś wiele i tak ją stawiał wysoko, że aż nie przypuszczał, by go kiedykolwiek opromienić mogła. Było to coś tak wielkiego, tak wzniosłego i odurzającego czarem, że w żadnym razie dosięgnąćby jej nie mógł. A przecież dosięgnął. Zeszła do niego, osypała go sobą hojnie, rozgłosiła mu imię, otoczyła go odrazu. Orlicz czuł ją na sobie, widział, że ma do niej prawa i wmawiał ją w siebie—a przecież zdawało mu się, że to nie jest ta sama sława, o jakiej on marzył kiedyś i jaką sobie wystawiał. Dziwił się, że całą jej rozkosz w dwóch wyrazach tylko zamieścić potrafił i że przy całej jej hojności—w duchu pozostał ubogim, jakim był i przedtem.

Więc zaczął się pytać sam siebie: „czy mi co dała sława i co mi ona dała?”

Mogła mu dać pewność siebie i wiare w swój talent; tej nie miał jednak i teraz, a przynajmniej nie zawsze. Właśnie w chwilach zwątpień i obawy niemocy, właśnie w chwilach takich, kiedyby go wesprzeć powinna—była, jak on sam, bezsilną i nie mogła mu wmówić odwagi.

Zrozumiał, że wiara w siebie i ufność w swe siły i bez uznania sławy istnieć w sercu mogą. Płyną one nie z zewnątrz, ale z wewnątrz ducha i wmówić ich w siebie nawet uznaniem milionów nie można.

Orlicz też, jak i przedtem, pozostał dowolną igraszką przypyływów i odpływów ducha i albo się bratał z gwiazdami, albo unicestwiał w prochu.

Mogła mu także sława dać dumę z siebie, przeświadczenie uznane, że jest jednym z wybranych, że jest dostojnikiem ducha. Zawsze w takim przeświadczeniu tkwi wiele rozkoszy i ono to właśnie pozwala jej szukać na dnie katuszy.

Za wielkim jednak sceptykiem był Orlicz zawsze, ażeby choćby miliony mogły weń wmówić cośkolwiek. Więc i tu, jak przedtem, pozostał w kole wirowem i co zyskał

na sławie, potrafił wypalić swoim jadem zwątpienia.

Ale jedno przecież zdawał się zyskać niewątpliwie: wielki rozgłos i innych uznanie. Przeświadczało go o tem wszystko. Mówiono o nim, pisano i rozprawiano i mógł być pewnym tego, że jego imię stało się znanem wszystkim i wraz z „Sonatą“ weszło w bieg życia. Spadł niby kamień w wygładzoną toń społeczeństwa i widział, jak koła falowań, szerząc się i wydłużając, ogarniały coraz większe obszary, dążąc do jakichś brzegów nieznanych. A wszystkie, jak światła promienie, od niego biegły i w nim się skupiały.

To też najdłużej Orlicz pieścił się myślą o swoim rozgłosie. Uważał go za jedyny dar sławy, który uzyskał w istocie i którego pewność niewzruszoną być miała. Cieszył się zatem i z tego, rad, że coś ma przecie, co zdobył sobie i czem swój dobytek wzbogacił.

Wkrótce jednak zobaczył, że i w tem było złudzenie,—może silniejsze od innych, ale złudzenie tylko. Oto z całego tego rozgłosu on, on sam, nie zyskał nic. Wsła-

wiało się imię jego, wślawiał się układ głosek, będący tylko prostem wyobrażeniem autora Sonaty, ale on sam się nie wślawiał. Gdyby mu się spodobało na miejscu swego imienia zamieścić jaką inną nazwę,— wślawiałaby się ta nazwa, ale znowu nie on. Nazwisko jego oderwało się od niego i, krążąc wśród ludzi, zbierało hołdy i uznanie, było jednak ciągle tak bezcielesnem, jak imiona bogów Hellady, którzy nie istnieli wcale, a mimo to cześć odbierali i nieśmiertelność posiadli.

Sam dla siebie oznak sławy nie pragnął, bo nawet nie wiedział, coby robił z nimi — i dlatego, jak przedtem, żył w ciszy i zdala od zgiełku świata, zadawałając się jedynie echami, jakie go dochodziły stamtąd. Tembardziej więc jeszcze osoba jego stawała się zamglonym mitem, w którym poza nazwą żadnej rzeczy nie ma.

I zrozumiał Orlicz, że nawet i ten nabytek, jaki, myślał, że zdobył, chimera był tylko, bo nie dał mu nic. Nie przysporzył mu żadnej idei, nie wzbogacił go żadnem uczuciem, nie dał mu nawet niższych przyjemnostek zadowolonej ambicyi, bo nie dbał

o nie,—a odarł go tylko z ostatniego złudzenia.

Znowu więc w duszy Orlicza zaczęła się szerzyć pustka. Przerażała go teraz bardzo, bo widział, że już jej niczem zapełnić nie zdoła. Rzucał w nią, jak w beczkę Danaid, wszystko, co tylko mógł i miał do rzucenia, a przecież ciągle tylko próżnią wiała. Rzucił w nią nawet to, czem nie każdy rozporządzać może — rzucił sławę swoją—a i ta jej zapełnić nie mogła.

I widział teraz, że ta sława, niby fala morza, oblewała go tylko, do dna jego serca nie dosiegając wcale. Czuł, że mu w niej brakło promienia jakiegoś, któryby mu się wedrzeć potrafił aż gdzieś w duszy zanadrze i był tylko dla niego, dla niego jednego.

Nie wiedział jeszcze, coby to za promień mógł być, ale instynktem odczuwał, że ten, ten właśnie, którego mu brakło, byłby go ogrzał może, pocieszył i dodał otuchy.

A w dodatku poczuł, że zaczyna tracić i tę odrobinę pewności siebie, na mocy której rozgrzeszał się za to życie, jakie

prowadził dotychczas. Usunięty od świata, oddzielony od niego mgłą swoich urojeń, sądził, że miał prawo żyć w odosobnieniu, wyrzekając się roli działacza na nim. Do-
tąd rozumował tak: wszystko, co nie jest mną, nazywa się światem, życiem; świat jestto ciągle ziszczanie się jakichś praw, których ja nie rozumiem; ażeby ów świat żył i biegł równo i dobrze, trzeba te prawa znać i według nich działać. a że ja ich nie znam, więc muszę się wycofać ze szranków i wyrzec swej roli; w ten sposób, nie robiąc nic, postąpię moralnie i dobrze, bo przynajmniej niczego psuć i mącić nie będę; mam zatem prawo żyć w ciszy i samotności. Tak też i żył, a swego prawa rezygnacyi tak dalece był pewien, że się nawet nie zastanawiał nad niem.

Tymczasem teraz i ta jedyna pewność zaczęła mu się z pod nóg usuwać. Bo nieprawdą było, ażeby nie działał. Działał,—a bezwiednie wybrał sobie rolę, która była jedną z większych, bo mogła wpływać na innych. „Sonatą Cierpienia“ nie przysporzył kęsa chleba, nie odział nikogo, ani napoił, ale zabrał głos i, jeśli nie słu-

chanym, był przecież przez wszystkich słyszany.

Nawał myśli zaczął się cisnąć Orliczowi do głowy. Bo oto, w ciszy czterech ścian pokoju swego, w odosobnieniu urojeń swoich on stworzył huczące dzieło, którego nabój z loskotem wpadł między ludzi i rozsiał wśród nich jego myśli i słowa. Cichy szept marzeń, które wysnuwał z siebie i tylko dla siebie, rozrósł się w potężny okrzyk i, brząc coraz donośniej, przetaczał się po świecie, wszczepiał w obce mózgi i zostawiał tam ślady. Nie kęs chleba stworzył, ani sukmanę, ale stworzył te myśli wszystkie, te serca bicia, pragnienia i wstręty, jakie Sonatą wywołał.

Pozostawał mu jeszcze jeden rachunek, tem cięższy i przykrzejszy, że spadł nań niespodzianie i przedtem nie zastanawiał się nad nim nigdy. Był to rachunek ze światem za Sonatę i za to, co ona w nim wywołała.

Bo przedewszystkiem ów świat przedstawiał mu się teraz inaczej. Nie był to abstrakcyjny wytwór oderwanych praw i zasad, zbiór mgieł i cieni, co walki staczają;

nie był to jedynie stek kólek maszyny, ujęty w karby żelazne i tylko wśród tych karbów żyjący; nie była to jedynie ściśle spojona gromada, niby kolonia mrówek, co kopiec tworzyła. Po za oderwanymi wyciągami ze spraw, pragnień i wstrętów tej gromady byli jeszcze oddzielni ludzie, którzy się nieskończenie różnili między sobą, mając każdy z osobna, swoje własne cele, swoje własne zadania, swoje myśli i dusze. Spełniały się wielkie prawa, tą gromadą rządzące, spełniały się przewroty i zmiany, z tych praw wypływające, ale po za tem ludzie kochali się i nienawidzili, pracowali i dążyli, opierali się lub chcieli i tak każdy dla siebie, tak oddzielnie i różnie, jakby o tych prawach nie wiedzieli zupełnie. A z tych dążeń maleńkich, z tych prac odosobnionych składała się jedna wielka mozaika, z drobnych kamyczków złożona, która dopiero z oddalenia wielkiego dawała linie i wzory, jedną całość tworzące.

I teraz dopiero Orlicz dostrzegł, jaki był błąd w jego dawnem mniemaniu o życiu i świecie. Oto był niby zawieszony na gwiazdach, w zawrotnej atmosferze ab-

strakcyi i górnych uniesień, bujał się gdzieś tak wysoko, w takich mgłach i obłokach, że tylko z ogromnych oddaleń na świat mógł spoglądać. Bratał się z wszechświatem, z gwiazdami, żył życiem komet, księżyców, oddychał duszną i męczącą atmosferą międzyplanetarnych przestrzeni, a z życiem i ludźmi, którzy go otaczali tak miał mało wspólnego, że aż ich nie znał wcale. Szukał celów na niebie, prawd i wiary w abstrakcyach i logicznych formułkach, a przeoczył po drodze jedyną księgę żywota, księgę dobrego i złego — ludzi i ten świat prawdziwy i żywy, który oni składali.

Znalazłszy tę jedną najważniejszą omyłkę życia swego; odgadł Orlicz, że ona to właśnie była przyczyną i źródłem jego zawodów wszystkich i smutków i tego, że sobie zepsuł życie. Bo oto żył niby dobrowolny ślepiec, zaopatrzony tylko w siebie i tylko swoim marom uległy, a dokoła niego wrzał ogromny świat, pełen to pragnień, to celów, to trwóg, to niepokojów, który tętnił ruchem i tak był zbliska wielkim różnaitością swoją, że aż się objąć nie dawał.

Jak więc kiedyś w noc letnią zaślubił przyrodę całą, tak teraz postanowił zaślubić świat, żeby go poznać najpierw, a potem i żyć z nim razem. Teraz przeczuwał tylko i odgadywał, że w tem olbrzymiem zbiorowisku to potrzeb i dążeń, to prac i mozołów, które się światem zowie, musi być pożądanem i niezbędnem, a przez to rozkazodawczem jakieś prawo wzajemności usług, prawo harmonii trudów i nagrody, prawo sprawiedliwości wymiany skutków za przyczyny, jeżeli nie ma się ludziom odjąć ochoty do pracy lub do jej owoców spożywania.

On dotychczas zrobił jedno tylko: stworzył „Sonatę Cierpienia“ i dał ją ludziom. Spełnił więc czyn. Ludzie wzajemian dali mu myśli swoje, lez trochę i współczucia i nadewszystko dali mu sławę. Była zatem wzajemność usług, była zasługa i nagroda, bo zapracował na swoją sławę, Nim stworzył, cierpiał i, tworząc, cierpiał, a świat wypłacił mu się za to i laurem wielkiej sławy uwieńczył skroń jego. Mógł więc teraz powiedzieć sobie: „świat płakał nademną, głosząc imię moje,

bom cierpiał za niego i znosił katusze: jestem więc zasłużonym i powinienem mieć spokój.“

A przecież nie miał go i teraz jeszcze. Skądś z głębi odzywał się w nim głos buntu i niezadowolenia, który mu nie dawał wyzbyć się nieskończonych wątpliwości i nasycić spokojem. Wiedział tylko teraz, że nie nazewnątrz niego, nie po za nim leżała przyczyna tego niepokoju, lecz w nim samym. Świat względem niego spełnił swoje i wynagrodził go hojnie, jeżeli więc nie mógł z całą ufnością przyznać się do tej nagrody, to tylko dlatego, że jemu samemu musiało braknąć jakiegoś składnika ducha i przez to czuł w sobie ciągły ferment.

Wtedy w duszy jego zawrzała ostatnia walka. Raz jeszcze położył na szale swoje życie całe, wszystkie czyny i myśli, swoją Sonatę i sławę i począł je badać, pytając sam siebie: „czegom jeszcze poniechał, przez co mi się teraz każda radość psuje?“ Badał się bezstronnie i jasno, odrzuciwszy wszelką próżność i zastarzałe

nawyki, sądził siebie i oceniał, jakby ktoś obcego, to wreszcie porównywał to z wielkimi, to z małymi, dopatrując się podobieństw i różnic, to przyczyn znowu, które je wywołały; a ciągle szukał tego promienia, co się duszom uśmiechać daje i jest dla nich źródłem niezmaconej pogody.

Bo widział teraz, czego brakowało sławie jego, że się nią cieszyć nie mógł: oto mu w niej zbrakło promienia uciechy. Mógł nią sobie przyozdobić czoło, mógł się nią szczylić lub chwalić, ale uśmiechać się do niej i cieszyć — nie mógł. Cała jego sława była tylko dla świata. On z niej ani cząsteczki nie schował sobie w zanadrze, nie ukrył od świata między odzieżą a ciałem ani jednego promyka, żeby mu tam pierś ogrzał i dawał otuchę. Nie mógł w radości, skulony, drżącymi dłońmi przyciskać go sobie do serca, uśmiechać się do niego i cieszyć, a pieścić, a gładzić. Nie mógł do tego promyka zagadać w zdziennieniu uciechy, nie mógł do niego powiedzieć: „tyś mój, mój jedyny, a niczyj inny i nikt mi cię nie odbierze, bom cię schował głęboko pod własną koszulę.“

A czuł, że taką uciechę dałoby mu tylko przeświadczenie, że spełnił dobre i pocziwe dzieło, ludziom i sobie na pożytek i pociechę; że je począł i stworzył dla tej pociechy samej, w dobrej woli ducha i wielkości celów. I nie Sonaty samej żałował teraz. Wiedział, że jedynem zadaniem poety jest dać wyrazy myślom i uczuciom milionów, które czują potrzebę, żeby im nazwali czy ich łzy, czy uśmiechy, czy rozkosze, czy bóle: bo ulgą jest dla nich, gdy mają czem płakać, błogosławić i kochać. W Sonacie swojej dał właśnie wyrazy tym dręczącym każdego, a nie nazwanym jeszcze, uczuciom skarg i bólów, co się zdawały z żył i kości podnosić, dopraszając się słowa; — spełnił zatem zadanie i nie truciznę, ale ulgę dał ludziom. Jeżeli więc teraz ze smutkiem i żalem patrzył na dzieło swoje, nie w niem samym błąd upatrywał, lecz w tych pobudkach, które go do tworzenia popchnęły.

Bo w końcu — przejrzał. Lata mu zbiegły gdzieś w nadobłocznych krainach, wśród ciągłych uniesień i marzeń, a w tej wędrówce życia zapomniał się zaopatrzyć

w jedno uczucie, najsilniejsze, najlepsze i jak ogień czyszczące — uczucie miłości. To cierpiał, to marzył, to zlorzeczył i znosił katusze niby za wszechświat cały, niby za wszelkie istoty, co życie wlec muszą, a przecież ludzie byli mu obcy zupełnie i nie miłość dla nich dyktowała mu myśli. Wyniósł się nad nich wysoko, aż ich stracił z przed oczu i, stojąc na tej wyżynie, zdawał się im mówić: „oto ja tu myślę sobie i cierpię sobie; a żem, jako człowiek, podobny jest do was, więc skarg mych słuchajcie, bo w nich i swoje bóle odnajdziecie może; jeżeli znajdziecie — cierpieć będę i za was; jeżeli się odwrócicie odemnie — ja tu sam zostanę.“ Nie miłość więc, nie chęć oddania usługi światu wyrwała mu jęki z duszy. Świat się przyznał do nich i poczytał mu je za zasługę, — a on tej zasługi nie widział wcale i cieszyć się nią nie mógł. Stworzył swoją Sonatę, bo mu się sama wyrwać z niego musiała, jako plód dostały, — a któż za zasługę poczyta drzewu, że owoc rodzić musi? Byłby ją stworzył, choćby zło i zgorzenie siał miała, — więc jakże miał

się w laur ubrać i hymny wdzięczności przyjmować?

I raz jeszcze wyobraźnią swoją zatopił się Orlicz w ekstazie. Zdawało mu się, że jakaś wielka i przedwieczna Istota, która ma sądzić i oceniać ludzkie żywoty i dusze, powołuje go na sąd swój przed Siebie i pyta, jak sędzia:

— Cóżeś zrobił z iskrą twórczą, jaką ci dałem, i czegoś dokołał wśród ludzi?

— Cierpiąłem za miliony — odpowiada Jej Orlicz.

— A czyś je ukochał i czyś kochał za nie?

— Nie — odpowiada — ałem przyniósł im ulgę.

— Więc się wróć tam raz jeszcze i ukochaj gorąco. Nauczylesz ich skargi, ucz ich teraz miłości, bo miłość zawsze rodzi dobre owoce i nic nigdy złego z niej wypłynąć nie może.

I poszedł Orlicz w świat na życie nowe. Wiedział, że go czeka praca, bo zmarnował wiele, ale poszedł ufnie, bo z wiel-

ką wiarą w siebie. Poniósł ze sobą swoje lata młode, swoje zdolności i iskry natchnienia, a w sercu wielki zapal i chęć gorącą miłości.

„Kochajmy!“ — dźwięczało mu coś w duszy; i ten wyraz jeden miał mu być dogmatem i źródłem przyszłej wiary.

„Kochajmy!“ — powtarzał sobie; i ten wyraz jeden miał mu drogi wskazywać i prostować ścieżki.

„Kochajmy!“ — śpiewało mu serce; a od tego śpiewu rozrastały mu się ramiona i promieniał cały.

A gdy tak szedł i śpiewał, zdawało mu się znowu, że ziemia cała, radosna, wesola i kąpiąca się w słońcu, podchwytuje śpiew jego i swoim pieniem mu wtórzy. Szemrały potoki w górach, szumiały drzewa w borach, śpiewało ptastwo w błękiecie, a trawy i zboża, dziewanny i jaskry kołysały się, gięły i witały go znowu. A w tych szmerach i szumach, w tych szelestach i śpiewach brzmiało jedno tylko: „Kochajmy!“

I ten śpiew olbrzymi, na skrzydłach wichrów niesiony, przebiegał pola i lasy, przebywał góry i morza, wciskał się w opoki i skały, aż chórem wielkim o niebo uderzył i echem stamtąd na cały wszechświat rozgłosił:

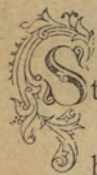
„Kochajmy.“



LEGENDA O PROMYKU SOBOTNIM

Nowele.

9



Stary Maciek Grzęda opowiada:

— Jednego razu, a to było w sobotę, okrutne chmury na niebo naszły i całkiem słońca nie było widać. Aż ludzie z chałup wychodzili, patrzali na niebo a dziwowali się, co to będzie? Burza, nie burza, deszcz, albo co?

Wyszła se z izby i Matka Boska z Panem Jezusem na rękę i także patrzy, co to będzie? Ni słońca, ni nieba, ni jakiego promyczka, tylko chmury i chmury, a deszcz tyle tylko co nie kapie. Westchnęła kilka razy Matka Boska i mało nie płacze, taka nieszczęśliwa.

— O mój Jezusieczku, powiada, jakże mnie tu Twoje koszulki wieszać, kiedy zaraz będzie padało. Wyprałam, wypłukałam, a tu nijak tera nie wyschnom.

— Nie kłopotaj się, Matko Boska, Pan Jezus powiada; to ja się bez koszulki obeńdę i w tej ostanę.

— A jakże Ci w tej koszulce ostać, — Matka Boska mówi — kiedy jutro niedziela i do kościoła trza iść?

Zamyślił się Pan Jezus i widzi, że Matka Boska prawdę mówi.

— A to idźcie i wieszajcie — powiada — kiedy tak potrzeba.

Poszła Matka Boska do izby po koszulki, a ciągle okrutnie niespokojna, a Pan Jezus usiadł se na wiązce siana, pacierz pocichu mówi i czeka, co to będzie?

Wiesza Matka Boska jednom koszulkę na płocie i w niebo patrzy. A tu chmury jeszcze większe i aż się czarno robi, a słońca jakby już całkiem nie było.

Więc westchnęła ciężko i powiada do Pana Jezusa:

— Ze wszystkim ci na nic moja robota, bo ja już widzę, co one nie wyschnom. I jako że ty, nieboże, tak przez koszulki ostaniesz?

A Pan Jezus nic nie mówi.

Wiesz Matka Boska i drugom koszulkę i patrzy, że stara i już bardzo małuśka. Zafrasowała się jeszcze więcej Matka Boska i powiada:

— Z czego to ja Tobie, mój Jezusieczku nowe koszulki uszyję, kiedy te takie stare i ledwie co wlizom na Ciebie? Ni to płót na w komorze, ni lnu na zagonie i pieniędzy nijakich nima. Oj doloż ty moja, dolo!

A Pan Jezus na sianie se siedzi, rączkami się bawi i nic nie powiada.

Staneła Matka Boska na progu i taka smutna, że aż głowom z żalości kiwa. Widzi, co zara beńdzie padało, i na nie koszulki zmoknom, a choćby i nie padało, to przez słońca nijakiej ciepłości nima, więc i tak nie wyschnom.

Myśli Matka Boska i myśli i widzi, że źle. Więc idzie do Pana Jezusa i powiada:

— A mógłbyś, mój Jezusieczku, Twego Boga Ojca poprosić, żeby nam choć krzynkę słonka pokazał. — Ni to dzień, ni to noc, tylko same ciemności i nijakiej ciepłości nima.

Zamyślił się Pan Jezus i widzi, że Matka Boska prawdę powiada.

— Uklęknął se więc na sianie, złożył ręce jakby do pacierza i mówi:

— Daj Panie Boże Ojcze, coby choć promyczek słońca na ziemię upadł i mojom Matkę Boskom pocieszył, bo strasznie nieszczęśliwa. I coby moje koszulki zrobiły się duże i całkiem jakby nowe, bo płótna w komorze nima i pieniędzy nijakich nima.

Ledwie co to Pan Jezus powiedział, aż tu chmury jakby kto siekierom rozrąbał i takie jasności się robiom jakby na samem słońcu. Aż się Matka Boska dziwuje, jak to się tak odrazu wszystko zrobiło i zara na koszulki patrzy, czy aby schnom, jako, że to głównie wedle tych koszulek szło.

A z koszulek aż dym idzie, tak schnom, i takie duże się robiom, że aż chyba za duże.

Ucieszyła się okrutnie Matka Boska i zara poszła koszulki z płota zdjąć, coby jeszcze przypadkiem nie zapadało i mało nie płacze, taka szczęśliwa.

Widzi Pan Jezus, że takom uciechę Matce Boskiej sprawił, więc powiada:

— Coby zawsze biednym ludziom jakoweś pocieszenie było, daj Panie Boże Ojczy, niech w każdym sobotę trochę słońce świeci i we wszelakich ciemnościach rozjaśnienie da.

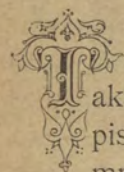
I od tego czasu w każdziuteńkom sobotę, żeby nie wiem jakie chmury były, musi choć jeden promyk słońca na ziemię upaść. A że go nie wszyscy widzom, to tylko dlatego, że jako to jest promień cudowny, więc tylko ludziom dobrym dano go oglądać. A kto zły i grzeszy, ten nic nie widzi, bo grzechy przy nim jako cień chodzą i wszystko zasłaniają.



I D Y L L A

Meran, 4-go grudnia.

Drogi mój Julku!



Taka jestem cała wzburzona, że ledwie pisać do ciebie mogę. Dlaczego Ty mnie okłamujesz, mój Julku? Przed chwilą dostałam list od pani Kowalskiej, i ona mi pisze, żeś ty odnajął i salonik, a sam się mieścisz tylko w kuchni; pisze mi także, że źle wyglądasz, bo po całych nocach coś piszesz i nie wysypiasz się. Wiesz, w pierwszej chwili, jakem to przeczytała, chciałam natychmiast wracać i byłabym to z pewnością zrobiła, gdyby mi tylko starczyło pieniędzy na drogę. Ty mi ciągle piszesz, żebym się niczem nie martwiła, że pieniądze są, bo Ci podwyższyli pensyę i że dadzą tę gratyfikacyę (czy napewno aż 100 rubli?), a tu ja się tymczasem takich rzeczy dowiaduję! I jakże ja

mogę być o Ciebie spokojna? Ale już nic, nic, nie martwię się, nie gniewaj się na mnie, Julku. Jest mi jeszcze tylko trochę przykro, że się tak zabijasz robotą i że musisz aż w kuchni mieszkać. Naturalnie wiem, że już tak musi być, ale mi przecież Ciebie żal. I kto Ci tam doprawdy w tej kuchni co urządził? Czy aby komin czem zastawiony, żeby przynajmniej nie było widać, że to kuchnia. A zlew najlepiej zasłoń tą firanką z okna. Ale, ale, z pewnością okno nie opatrzone i pewnie wieje?

Mój drogi, już ja Cię proszę, weź zaraz waty i pozatykaj wszystkie szpary. Najlepiej nożem. Robi się takie długie, wąskie wálki (tylko czy Ty potrafisz?) i tak się nożem mocno, bardzo mocno wpycha. Jakby jeszcze wiało, to oklej papierem, tylko niech paski będą wąskie, bo później trudno odskrobać. A pamiętaj, że się utyka nie to okno ode dworu, tylko od pokoju, boby tamto ciągle było zapotniałe. Wata jest w dolnej komodzie na lewo w tem niebieskiem pudełku. Mój drogi, jak mnie kochasz, zrób to zaraz, bo ja tu będę ciągle niespokojna, że Tobie wieje. A komuś

odnajął salonik? Czy aby jaki porządny lokator, żeby nam mebli nie zniszczył? Już krzesła — to trudno, ale najwięcej szkoda kanapki. Żebyś Ty ją może wziął do siebie? Powiedz, że Ci potrzebna, i koniec. Pamiętasz, jakeśmy ją kupowali? Mój Boże... Ale już nic, nic, bobyś się znówu na mnie gniewał. Ja tu jestem ciągle w bardzo dobrym humorze, naprawdę. Dzisiaj nawet śpiewałam sobie. A o zdrowie moje nic a nic się już nie bój. Jak Bożę kocham, no widzisz, jak Ciebie kocham, jest mi prawie zupełnie dobrze, i gdyby nie ten kaszel, za nicbym tu nie siedziała. Krew pokazywała mi się wszystkiego ze trzy razy, a może nawet i nie tyle, ale doktor powiedział, że to nic i że to nawet lepiej, bo co ma odejść, niech odchodzi prędzej. Jeszcze mi nie pozwolił tak bardzo chodzić, ale ja i wielkiej ochoty do tego nie mam. Chociaż jakem tu raz wyszła nad tę Passerę, to nic i nawet nie bardzom się zmęczyła po schodach. Znowu mówił o ten pokój, ale czy to nie wszystko jedno? Przecież i tak po całych dniach siedzę na balkonie na słońcu, a w nocy i w tamtych

pokojach słońce nie świeci. A za to tutaj o połowę taniej. Lekarstwa wszystkie te same. Myślałam, że może tych pigulek nie każe mi przyjmować, ale on jeszcze przypomniał, żeby brać. Ostatnim razem, może przez pomyłkę, dali mi w aptecce więcej, tak, że na całe dwa tygodnie starczyło, a przedtem co jedenaście dni musiałam półtora guldena za same pigułki płacić. Strasznie się bałam, żeby mi znowu nie kazał tego ekstraktu do rosolu używać, ale że nic nie mówił, więc dałam spokój; chociaż o dwadzieścia centów mniej się wyda codzień. Gorączka ciągle mi się zmniejsza, a rano to nawet mam prawie o dwa stopnie mniej, niż 37. Jem także bardzo dużo, naprawdę, nawet i mięso, com dawniej nie mogła znieść samego zapachu.

Więc już bądź o mnie spokojny, mój najdroższy Juleczku! Ja się tu niczem nie martwię, tylko tem, że Ty się tam może o mnie martwisz, myślisz, że mi jest gorzej, albo co, i tem sobie życie zatruwasz. Pamiętaj, zem Ci przysięgła, że Ci zawsze prawdę będę pisać, a już wiesz, że jak ja się na co przysięgnę, to z pewnością do-

trzymam. Sam doktor mówił, że widzi wielką poprawę i że kto wie, czy już na Wielkanoc nie pozwoli mi wrócić do domu. Ale ja to i bez jego pozwolenia zrobię, i zobaczysz, jak zdrowiuteńka stanę w Warszawie. Jeszcze nawet zdrowsza, niż dawniej, no zobaczysz!

Tylko, mój Julku, mnie znowu brakuje pieniędzy. Jeszcze, na jaki tydzień, tak na życie i wydatki, to mi starczy, ale mieszkanie już pół miesiąca nie zapłacone, i gospodyni się krzywi, bo tu wszyscy płacą z góry. Żebym się mogła z nią rozmówić, tobym ją chociaż przeprosiła, i możeby jeszcze z parę tygodni poczekała, a tak, co ja poradzę? Doktora wstyd mi prosić, żeby jej wytłómaczył, i zawsze to nie to, jakbym ja ją sama poprosiła. Żebyś mógł tak z 50 rubli mi przysłać! Ja wiem, mój najdroższy, że Ty pewnie nic teraz nie masz, ale co ja tu zrobię? Już się oszczędzam, jak tylko mogę, jednego centa na próżno nie wydaję, a pieniądze idą i idą, ani się obejrzyć: to mleko, to lód, to koniak, to jakieś lekarstwo, i tylko płacić i płacić. Myślałam, że jak sobie sama

pościelę i porządek w pokoju zrobię, to już usługa nie będzie mnie kosztowała, a tymczasem to wszystko jedno, bo i tak trzeba guldena dać na tydzień. Chciałam robić kapelusze, żeby choć trochę zarobić, i nawet ta pani Bielińska, com ci o niej pisała, zrobiła mi po niemiecku ogłoszenie w tutejszej gazecie, ale nikt nie przyszedł. Była tylko jakaś pani, ale mówiła czy po francusku, czy po angielsku—nie wiem—i nic nie mogłam zrozumieć. Niepotrzebnie tylko 20 centów wydałam. Najgorzej to mi z tem, że ja się tu z nikim rozmówić nie mogę. Czasem tak mi się przykrzy, że nie masz pojęcia. Mówiła mi pani Bielińska, że w kurhauzie jest Kuryer i można czytać, ale boję się tam wejść, bo może się to płaci? Zresztą w tym tygodniu niewiele wychodziłam, więc i takbym nie czytała. Siedzę po całych dniach albo w pokoju, albo na balkonie i już sama nie wiem, co z czasem robić. Gdyby nie doktor, jużbym chyba mówić zapomniała. A nie pisałam Ci jeszcze, że teraz doktor co kilka dni do mnie przychodzi do domu, naturalnie tylko tak sobie, bo przecież mogłabym,

jak dawniej, sama do niego chodzić. Ale ma tu zaraz obok jedną chorą, co miała raz w nocy krwotok, więc powiedział, że nawet woli. Obiecał mi przynieść książkę do czytania, ale pewnie zapomniał, bo już był dwa razy i nie przyniósł. Czy to nie będzie niegrzecznie, jeżeli ja mu przypomnę?

Mój najdroższy Juleczku, pisz do mnie jak najczęściej i bardzo, bardzo długie listy, po parę arkuszy. Ja tu każdego Twego listu czekam, jak zbawienia, i ciągle go czytam, póki drugi nie nadejdzie. Już nawet listonoszowi za każdym razem daję po 6 centów, żeby tylko o mnie pamiętał. A wiesz, on widać zna Twój charakter pisma, bo jak przychodzi Twój list, to on się uśmiecha i list zdaleka pokazuje, a jak inny, to dopiero z torby wyjmuję. Musi być bardzo dobry człowiek. Zawsze coś do mnie mówi, ale ja nic nie rozumiem i nawet mu nie mogę podziękować.

Mnie tu jest bardzo dobrze, Julku. Ty się nie martw, bo ja wszystko prawdę piśzę; tylko tak mi tęskno! Ach Boże, mój Julku! Tutaj tylu ludzi, a tylko Ciebie je-

dnego niema! Żebyś to Ty tu był —no nie wiem! Ach Julku, Julku! Ja już sobie czasami nie mogę dać rady. Tak się czegoś boję! Żeby choć na godzinę Ciebie zobaczyć! Choćby nic nie powiedzieć, tylko się popatrzeć na Ciebie. Ja się tak boję, tak boję! Ach Boże, Boże, mój Julku!... Jezus Marya!..

Ty się na mnie nie gniewaj, że ja tak piszę, ja się wcale nie skarżę, bo nawet nie mam na co,—ale komu ja co powiem, mój drogi? Mnie się tak chce teraz ciągle coś mówić. Niby piszę listy, ale czy to można tak wszystko napisać! Czasem, jak nie mogę zasnąć, chociaż ja teraz dobrze śpię, to mi się ciągle zdaje, że mówię do Ciebie, albo że z Tobą rozmawiam. I tyle, tyle rzeczy mam Ci zawsze do powiedzenia tak, wiesz, wszystko, wszystko. Żeby choć z jeden dzień, mój Julku! Ach, Boże drogi! Ale ja przecież wrócę, wrócę, choćby mnie tu trzymali, to ja piechotą, ale na Wielkanoc wrócę. I wiesz co, — już nigdy, ale to nigdy nie będziemy się rozłączali choćby na jeden dzień. Kiedym tu jechała, to Ci się przyznam, żem się nawet trochę cie-

szyla, że jadę zagranicę, ale teraz... ach, mój Julku! Tylko Ty wiedz, że ja Ciebie strasznie, strasznie kocham i że ja bez Ciebie zupełnie bym żyć nie mogła. Ale my się zobaczymy jeszcze, Julku, i wtedy, Boże mój drogi, ja nie wiem, ja chyba umrę ze szczęścia. Ach, Julku, Julku! Bóg przecież taki dobry i, ja się tak codzień modlę...

Marya.

Warszawa, 8 grudnia.

Najdroższa moja Maniusiu!

Aj, Maniuś, Maniuś, jakeś Ty mogła tak przez cały tydzień nic do mnie nie pisać! Nibyśmy się tak umówili, że tylko co niedziela będę miał list od Ciebie, ale gdybyś wiedziała, jak mi było ciężko czekać się dzisiejszego, byłabyś z pewnością napisała wcześniej. I wiesz co? — pisuj teraz dwa razy na tydzień. Na wszystkim możesz oszczędzać, tylko nie na markach, moja najdroższa. Mnie tu już Bóg wie, jakie myśli przychodzą do głowy.

Naturalnie wiem, że jesteś już zdrowsza, a nawet pisał mi doktor, że już prawie zdrowa (a widzisz?), ale zawsze człowiek się czegoś boi. Tylko nie myśl, że ja się boję o Twoje zdrowie. Słowo honoru Ci daję, tak mi doktor zaręczył, że wrócisz zupełnie zdrowa, i nawet to, że teraz trochę jeszcze kaszlesz, to nic, bo to tak jest zawsze przy kuracyi. I wiesz, co jeszcze powiedział? że choćby Ci się powtórzył krwotok, to nie powinnaś się tem nic a nic niepokoić. „Żeby nawet dziesięć krwotoków—powiada—to wszystko głupstwo, bo płuca zdrowe!“ A Tobie już się Bóg wie, co wydaje! I właśnie, jak tak myślisz, to źle, bo się tylko rozdrażniasz, martwisz, a to Ci najwięcej szkodzi. Tylko Ty mi pisz szczerą prawdę o wszystkim, moja Maniusiu. Ja, jak widzisz, niczego się już nie boję i jestem pewny, że będziesz zdrowa, więc mnie nic nie przestraszy—a zawsze chciałbym wiedzieć dokładnie, jak się czujesz chwilowo. Choćbyś się czuła nie wiem jak źle, to zaraz pisz; ja już wiem, że to tylko będzie chwilowe, więc mnie to nie zmartwi. Ale i Ty bądź dobrej myśli,

najdroższa moja, pamiętaj tylko to, co Ci doktor na wyjeźdźnym powiedział, i o nic się nie kłopotuj. Tej starej plotkarce Kowalskiej, jak ją gdzie spotkam, nagadam takich głupstw, aż jej w piętę pójdzie. To wszystko nie prawda, co ona Ci tam powypisywała. Salonik rzeczywiście odnajmiałem ale to tylko dlatego, że mnie o to prosił nasz naczelnik, bo to dla jakichś jego krewnych, którzy przyjechali ze wsi. Nie mogłem się w żaden sposób wymówić. Za to, widzisz, już mogę napewno liczyć na tę gratyfikację na Nowy Rok. Wogóle bardzo dobrze mi się powodzi i ani chwili nawet nie myśl, że mi tu czego brak. Za salonik będą mi płacili 15 rubli. Jużem tak sobie obmyślił, że za to Ty tam sobie wynajmiesz pokój od południa, bo to podobno bardzo ważna rzecz. I widzisz, jak to się wypadkiem dobrze złożyło! bo i naczelnikowi zrobiłem przysługę, i Tobie, moja najdroższa, będzie lepiej. A mnie w tej kuchni tak dobrze, jak w niebie. Wszystko zaraz tak zrobię, jak mi pisała, i będzie mi tu nawet jeszcze wygodniej, bo nie potrzeba tyle czasu tracić na sprzą-

tanie. A ja, chwała Bogu, mam teraz sporo roboty, bo wiesz, ten Moliński, co to był w składzie lamp, pamiętasz? postarał mi się o przepisywanie starych aktów, i gdyby mi tylko czasu starczyło, mógłbym dużo zarobić. Przez ten tydzień przepisałem za 8 rubli! Dobrze się złożyło, że teraz w biurze niewiele jest zajęcia, więc mogę brać swoją robotę. Ale jeszcze Ci lepszą rzecz powiem: obiecał mi jeden z kolegów, że mi wyrobi miejsce kontrolera biletów w cyrku, za co placą 25 rubli na miesiąc, a zajęcia jest wszystkiego od 8-ej wieczorem do 12-ej. Żeby się to tylko udało! Wogóle nic się nie kłopotz o pieniądze; już ja tu sobie dam radę. Naturalnie na rzeczy niepotrzebne nie wydawaj, ale jak Ci tylko co doktor przepisze, zaraz kupuj, moja droga Maniusiu, bo bez tego to na nic będzie cała kuracya. Posyłam Ci teraz 47 rubli. Nie myśl tylko, że dlatego nie 50, że mi zabrakło. Niech Bóg broni. Miałem, widzisz, nawet 52 ruble, i byłbym Ci je i bez Twego listu wysłał, ale mnie wczoraj w biurze gwałtem napadł Krajewski, żebym mu na parę dni pożyczył 5 rubli,

i nie mogłem się wymówić. Gdyby nie to, że chcę Ci w tej chwili wysłać, zaraz jutro jeszczebym odebrał za to przepisywanie i miałybyś nawet całe 55 rubli. Ale ja ci i tak zaraz po Nowym Roku więcej pieniędzy przyślę, jak się tylko z tą gratyfikacją skończy. Już Kleinowi nie dam teraz, niech sobie czeka. Czy wiesz, że ta siostra Doleckiego wychodzi za mąż? a jakże. Zaraz po świętach ma być ślub. Podobno jakiś buchalter, choć mnie się nie bardzo zdaje. Oni się zawsze lubią chwalić. Krajewskim znów córka przybyła. Mieli mnie prosić na ojca chrzestnego, alem się wymówił, bo to zawsze koszt. Ci z drugiego piętra pod nami wyprowadzają się od Nowego Roku. Ona mnie raz zaczęła na schodach i ogromnie serdecznie wypytywała się o Ciebie. Przenoszą się gdzieś na Wspólną. Nic Ci już takiego nie mam do napisania, chyba to, że u nas jest jeszcze dosyć ciepło i że pewnie do samych świąt będę mógł w tamtem palcie chodzić. W piecu nawet jeszcze nie paliłem, bo po co? Raz, kiedym pisał późno wieczorem, było mi trochę zimno, ale ubrałem się w palto,

i zrobiło mi się zaraz ciepło. Nie chodzę nigdzie, bo szkoda czasu, a jak mam wolną chwilę, to o Tobie myślę, moja Ty najdroższa, i o tem, co to będzie, jak Ty przyjedziesz. Wiesz, ja sobie chyba wezmę wtedy urlop na jaki tydzień, żebyśmy mogli od rana do wieczora być tylko z sobą. Nawet znajomym nie będę nic mówił, kiedy wrócisz, żeby nam nikt nie przeszkadzał. A ty tylko o tem myśl, moja Maniusiu. To tak się tylko, widzisz, wydaje, że to daleko do Wielkiejnocy. Teraz niezadługo już święta, potem karnawał, potem Popielec, a już w poście to się tylko o tem będzie myślało, że jak się skończy, to będzie Wielkanoc, i Ty przyjeżdżasz. Aj, Maniuś, jacy my będziemy szczęśliwi! Naprawdę, ja się koniecznie o ten urlop postaram. I wiesz jeszcze co? może będzie ładnie i ciepło, to sobie gdzie wyjedziemy, do Wilanowa, albo choćby do Czerniakowa, jak to wtedy, pamiętasz? Żeby tylko było ciepło! A jakbyś się zmęczyła chodzeniem, to cię wezmę na ręce, naprawdę, cóż to szkodzi? Ja jestem przecież dosyć silny i mógłbym Cię chyba z milę nieść. I wiesz, choćbyś nawet nie

chciała, choćbyś była zdrowiuteńka, ja Cię i tak wezmę i będę niósł kawał, kawał drogi. Tylko wracaj, Manius, wracaj, bo mnie jest tak bez Ciebie, jak jeszcze chyba nigdy w życiu, i gdyby mi nie było wstyd, tobym czasem tak płakał, jak mały dzieciak; naprawdę, Manius, naprawdę. Całuję Cię i ściskam bardzo, moja najdroższa.
Twój

Julek.



JEDNA ŁZA

Pieściłem ją i pielęgnowałem, jakby mi nie żoną, ale dzieckiem była, — a ona umarła!

Jak się to wszystko stało, jak ją do trumny wkładali, jak mnie tam zawlekli na cmentarz, — nic nie pamiętam. Wiem tylko, że było dużo, bardzo dużo śniegu, potem usłyszałem łoskot grudy, spadającej na wieko, potem ktoś mnie wsadził do doróżki i razem z matką przywiózł do domu, — i już więcej nic nie wiem. Poszedłem podobno do jej łóżka i począłem ją wołać po imieniu. Nie odezwała się.

A, i jeszcze pamiętam jedno: jej suknię ślubną. Czyściła ją niemal codzień, trzepała, przymierzała, przerabiała, wciąż się na bal jakiś gotując. Nie kupili jej innej,

więc kiedy umarła, w tej ją włożyli do trumny. I na tę suknię białą, której za życia tak strzegła troskliwie, zaczął padać śnieg mokry, wilgotny, nim karawan odjechał na cmentarz, zmoczył ją i zniszczył zupełnie.

I dlaczego ona umarła? Za co? Czem zawiniła komu? Ja ją tak szalenie kochałem! Z jej imieniem na ustach budziłem się rano, z jej imieniem zasypiałem co wieczór, i nie było we mnie żadnej najmniejszej myśli, żadnego zachcenia, któreby nie krążyło koło niej. Była mi całym światem, tak zupełnie, że jedyny sens, jaki miało dla mnie wszystko, to tylko przez nią i dla niej, że i ona żyła. A teraz — słońce? Na co mi słońce? po co mi słońce? Jej twarzy już mi ono nie oświeci. Wiosna? zieloność? śpiew ptaków? Co mi teraz po tem? Ona już tego nie zobaczy, ani usłyszy. Póki żyła, to wszystko było potrzebne, i ja rozumiałem po co to jest, ale teraz — jakże ja mam co rozumieć i czuć, kiedym mógł patrzeć jej tylko oczyma, słyszeć jej tylko słuchem, kiedym żył przez nią jedynie i nią? I oto teraz —

umarła. Niema minuty, sekundy jednej, żebym sobie tych słów nie powtarzał. Jak niegdyś nie schodziło mi z ust i z myśli jej imię, tak teraz nie schodzi ten jeden wyraz: — umarła. Powtarzam go i w dzień, i w nocy, i we śnie, i na jawie, mechanicznie, bezwiednie, nawet wtedy, kiedy wpadam w bezmyślne odrętwienie. A przecież chwilami wydaje mi się to niemożliwym. Ustami szepcę: — „Umarła...” — a całą duszą krzyczę: — „Nie, to nieprawda!”

Bo i jakże to — umarła?! Co to — umarła?! Dlaczego się cały świat nie wali, kiedy ona umarła? Bez niej nie powinno nic być, a skoro jest, to ona umrzeć nie mogła!

I tak się targam i męcę, i nie rozumiem nic, i patrzę w próżnię, a tylko czuję, że mię coś po głowie jak obuchem wali, ciągle wali...

* * *

Poznaliśmy się prędko i pokochali jakoś odrazu. Chwilę pierwszego naszego spotkania pamiętam tak, jakby to było dziś.

A i ona staje mi w wyobraźni niby żywa i taka sama, jak była wtedy. Nawet tę bluzkę w paseczki, nawet kolor wstążeczki na szyi pamiętam teraz.

Zacząło się — jak się zaczyna wszelkie kochanie.

Potrzeba mi było na model kilku liści paproci do jakiegoś portretu. Idę do sklepu z kwiatami. Południe, zima, mróz, blask aż bije od śniegu, a niebo takie szafirowe, że mi się wierzyć nie chciało, że to prawdziwe, nie namalowane. Wchodzę do sklepu—istny raj: kwiaty, kwiaty i kwiaty, a zapach aż odurza. Za kontuarem niema nikogo, tylko z boku, pod ogromnym filodendronem siedzi sobie jakaś panna i zwija maleńkie bukietiki do butonierek, a głowę ma tak piękną, jak żadna Madonna. Siedzi schylona, coś prędko w palcach obraca, a na mnie ani spojrzy.

— Dzień dobry — mówię.

— Dzień dobry — odpowiada. — Pan chwileczkę poczeka, aż skończę.

I znowu ani spojrzy. W jednej ręce trzyma jakiś drucik, a drugą między palcami przedziuteńko skręca mały bukietik.

A taka śliczna i różowa, taka jakaś lekka i przejrzysta, jakby z filodendronu wyrosła. Zupełnie kwiat, albo ptak.

— Służę panu, skończyłam, — mówi.

Wstaje strzepuje coś ręką z fartuszka i spogląda na mnie. Takich modrych oczu jeszcze jak żyję nie widziałem! Czasem tylko niebo o poranku bywa takie, i to krótką chwilę, przed samym wschodem słońca, kiedy się w rosach przegląda.

A rzesy — po prostu bajeczne!

Zapominam, pocom przyszedł, gdzie jestem, co robię, i kłaniam się jak uczeń, nogami. Wtem — trzask! słyszę, coś się toczy po podłodze, przewraca, rozbija i rozpada w kawałki. Ona woła: „ach!“ ja powtarzam także: „ach!“ — i schylamy się oboje ku ziemi. Przewróciłem doniczkę z hyacynthem.

— Nic nie szkodzi — powiada, i zaczyna zbierać skorupy i rozsypaną ziemię.

Przepraszam ją, jak mogę, tłumaczę się, obwiniam.

— Nic nie szkodzi — powtarza, — to ogrodnik źle ustawił, nic nie szkodzi...

I nachyleni oboje zbieramy razem kawałki doniczki i grudki ziemi, coraz się spotykając to głowami, to rękoma, bośmy często po jedną i tę samą skorupę jednocześnie wyciągali ręce, zwłaszcza, żem ja to robił trochę naumyślnie. A tymczasem rozmawiamy.

— Tom ja taki niezgrabny! — mówię.

— To się każdemu zdarzy — pociesza mnie. — Czasem, ja sama co zbiję, albo z rąk wypuszczę, i wiem, że to nieprzyjemnie.

Niby niechcący rozrzucam ręką już ułożone skorupki.

— E... pan tylko przeszkadza — mówi. — Niech pan da spokój, już ja sama zbiore.

— Ja?... Niech Bóg broni! — zaprzeczam. — Gdzieżbym ja się ośmielił!

I znowu, zamiast jakiegoś listka, dotykam jej różowego paluszka.

A hyacynt?... czy można wziąć... na pamiątkę? — pytam.

Zaczyna się zlekka rumienić cała, chwilę milczy i mówi:

— ...proszę...

— Ale... na pamiątkę? — pytam.

Znowu milczy chwilę, rumieni się jeszcze bardziej, ale już cichutko zupełnie mówi:

— ...proszę...

.

A kiedyś wracał do domu, dzień wydał mi się jeszcze jaśniejszy, niebo jeszcze więcej szafirowe, a śniegi miały takie błaski, jakby dyamentami utykane.

I zacząłem tam chodzić codziennie. Z początku niby tylko po kwiaty, potem niby tylko przypadkiem, a wreszcie — już tak.

Jednej niedzieli przyszła do mnie, do mojej pracowni, ze swoją przyjaciółką. Długo musiałem ją prosić o to i namawiać, nim przystała.

Jakże ja tak przyjdę do pana? — mówiła, opuszczając swoją cudną twarzyczkę. Przecież to nie wypada...

Ale żeśmy sobie postanowili już wtedy, że się pobierzemy, więc musiała się zapoznać z moją matką i dlatego przyszła.

Matkę uprzedziłem o tem na kilka dni wcześniej. Chciałem, żeby ją pokochała, nim ją zdąży zobaczyć. Ale pocziwe matczyisko zmartwiło się okropnie. Wszystkie jej piękne plany ożenienia mnie to z córką naszego gospodarza domu, która miała spory posag, to z córką jakiegoś jubilera, także dość posażną, i nawet, jak matka mówiła, bardzo przyzwoitą panienką, upadały od razu, topniały, jak śnieg. Próbowwała mnie jeszcze namawiać i przekonywać, prosiła, przedstawiała, alem ją ciągle w rękę całował i powtarzałem uparcie: „Nie, mamó, ja się tylko z Janką ożenię.“ I naturalnie, zgodziła się w końcu. Kocha mię nad życie, za mną świata nie widzi, więc cóż miała robić biedna?...

Od samego już rana zaczęliśmy na jej przybycie porządkować nasze pokoiki. Ja przestawiałem ciągle meble, coraz się pytając matki, czy tak będzie dobrze, a matka, czasem tylko wzdychając, okurzała wszystko, czyściła i wydobywała z komody resztki swojej dawnej zastawy stołowej.

Dzień był śliczny, kwietniowy. Po niebie, niby białe ptaki, przelatowały drobne,

roztrzepane obłoczki. Przez pootwierane okna zaglądało nam słońce, wypatrując każdy kątek. Było świeżo jakoś i czuło się wiosnę. Po za oknami, gdzieś po dachach, świergotały wróble. Wszystko zdawało się cieszyć i z wiosny, i z ciepła, i z pogodnej niedzieli, i ze szczęścia naszego.

To też kiedy weszła wreszcie, zażenowana trochę i cała różowa z lekkiego zmęczenia, było mi zupełnie tak, jakby mi się niebo nagle otwarło. Zapomniałem o wiosnie, o słońcu, o swoim szczęściu nawet, a tylko patrzałem na nią, na jej śliczną twarzyczkę, która się uśmiechała do mnie z pod jakiegoś wielkiego kapełusza, okolona związaną pod szyją białą gazą. Żeń jej odrazu nie padł wtedy, do nóg jak długi, to sam się teraz dziwię ogromnie.

Matka przyjęła ją poważnie, niemal surowo. Nałożyła okulary, wzięła w obie ręce jej głowę i wykręciwszy do światła, patrzała na nią długo, badawczo. Ale widać odrazu przejrzała ją do głębi, bo po-

chylając się nad nią i całując w czoło, powiedziała drżącym głosem:

— Niech was Pan Bóg błogosławi!

Potem oglądaliśmy całe mieszkanko, a mnie po raz pierwszy wydało się rajem, dlatego, że ona w niem była. Zdawało się, że gdzie stąpnie, pozostają po niej jakieś cząstki jej samej, ślady jej stóp, oddechu, każdego ruchu, każdego uśmiechu. Szeptalem jej coś ciągle do ucha, a ona, rozpromieniona cała, oczy spuszczała ku ziemi i mówiła tylko:

— Niech pan da spokój!

Najdłużej zatrzymaliśmy się w pracowni. Stąpała delikatnie, ostrożnie, bojąc się czegoś uszkodzić. Objaśniałem jej, jak się maluje, jak się farby rozciera, pokazywałem penzelki, palety, a ją to wszystko zajmowało niezmiernie i prawie zawsze śmieszyło. Brała do ręki każdy obrazek i pytała:

— Czy to pan to malował?

— Tak, to ja, — odpowiadałem.

— A to ładne — mówiła i brała drugi obrazek.

— A to także pan malował?

— Nie, to nie ja, — mówię.

— A to nieładne! — i nawet nie raczyła spojrzeć na niego wcale.

Kochanie moje na malarstwie nie znało się zupełnie. Długo nie mogła odróżnić akwarelli od olejnego obrazu, a nawet oleodruków od oryginałów. Tego samego dnia jeszcze zadała mi pytanie, dlaczego nigdzie nie wymalowałem słońca. Objąśniałem to jej szeroko, ona słuchała, przytakiwała, ale zdaje się, nie mogłem trafić do jej przekonania.

Kiedy już na samym końcu pokazałem jej własny jej portret, zrobiony z pamięci, nie mogła się długi czas uspokoić. To się śmiała do niego, to oglądała na wszystkie strony, to dotykała palcami, — i była zupełnie jak mały dzieciak, kiedy się w lustrze zobaczy. Ciągłe powtarzała:

— Jak to pan tak mógł namalować!
Jak to pan mógł tak zrobić!

A kiedym go jej podarował, nie wiedząc już sama, co ma mi powiedzieć, wyszeptała ze łzami:

— Ja pana przecież bardzo kocham.

Rzuciłem się do niej i po raz pierwszy ucałowałem jej usta.

Jej usta! Jej śliczne, różowe usteczka!
...Chciałoby się chwilami coś kąsać,
szarpać, po ziemi się tarzać, a przytem
wyc — w niebogłosość wyc.

* * *

Ślub nasz odbył się cicho, wieczorem. Janka wyglądała, jak mała dziewczynka, w długą suknię ubrana. Kochane matczyńsko z radości i ze wzruszenia spłakało się straszliwie, i długo, długo niemożna jej było uspokoić. A my nie wiedzieliśmy czy śmiać się, czy płakać, czy się smucić, czy cieszyć. Wszystko to pamiętam trochę, jakby przez mgłę. To wiem tylko, żeśmy byli szczęśliwi, tak szczęśliwi, żeśmy nie wiedzieli, co z tem szczęściem robić.

Na drugi dzień pamiętam chwilę śniadania. Czekałem na nią długo przy stole, bo choć kilka razy, słyszałem, podchodziła ku drzwiom i nawet brała za klamkę, za każdym jednak razem zwracała się znowu. Weszła wreszcie, trochę blada i jakaś nie-naturalnie poważna. Choć miała oczy ot-

warte, zdawała się nic nie widzieć i nawet nie chceć nic widzieć, a szczególnie mnie.

— Dzień dobry, Janko — zacząłem.

— Dzień dobry — odpowiedziała, trochę się ku mnie zwracając, ale ciągle unikając moich oczu.

I naraz poczęła się czerwienić. Rumieniec pokrył jej policzki, czoło, uszy, nawet szyję. Pochyliła się cała naprzód, coś poprawiając przy falbankach szlafrocza.

— A jak się moja pani wystroiła dzisiaj! — mówię, chcąc w jakikolwiek sposób przerwać jej pomieszenie.

A ona ciągle zarumieniona i pochyłona, zaczyna się tłumaczyć:

— To nie ja... to mama... to mama... kazała mi się tak ubrać... to nie ja..

I precz falbanki poprawia i otrzepuje.

— Takie zbytki! — mówię znowu. — Moja pani lubi się stroić, będzie męża rujnowała.

— To z samych kawalków, jak mamę kocham. To ja sama wszystko uszyłam. O... tu sztukowane, tu sztukowane... o...

I zaczyna zlekka rozgarniać cały szlafroczek, pokazując mi palcem rozmaite jakieś znaki

...Przy końcu śniadania siedzieliśmy już na jednym krzeselku.

* * *

A potem obiad! Ten nasz pierwszy małżeński obiad!

Przypasała fartuszek i mówiła, że gotuje sama. Matka ją ciągle wypraszała z kuchni, chodziłem tam po nią i ja, ale ona nie chciała ustąpić.

— Ja wszystko umiem — powiada, — a już pierwszy obiad muszę sama zrobić.

Matka się śmieje i mówi:

— Idź do męża. Tutaj cię wcale nie potrzeba.

— A co ja tam będę robiła? — pyta.

I za każdym razem rumieni się cała.

Pamiętam wszystko, nawet każdą potrawę. Zasiadamy do stołu, a matka mruga na mnie i mówi:

— No, zobaczymy, jaki to nam ta dzierlatka da obiad.

Próbuję zupy i zaczynam się krzywić.
— A co! Nie miałam racyi? — mówi matka.

— Nie słona — powiadam, — moja pani nic a nic się nie kocha.

I spoglądam na Jankę.
Jest strasznie zawstydzona.

— Nie może być! — tłumaczy się. —
A ja tyle soli wsypałam! Ale zaraz...
zaraz...

I bierze między dwa paluszki szczyptę soli i lekko przebierając nimi, zaczyna mi krążyć nad talerzem.

— Cip... cip... cip... kureczka — mówię: — cip... cip... cip...

I tu schwyciwszy jej różowe paluszki, pocałem całować z nich każdy, a że jakoś przez ramię blisko było i wyżej, więcem już skończył tam wyżej...

Przy pieczeniu nowa historia. Wyciągam nitkę z ubrania, kładę nieznacznie na talerzu i wmawiam, żem ją znalazł w pieczeniu.

Janka aż ręce składa.

— A, mój Boże! — mówi przerażona. — I skąd się to wzięło?

...Zdaje się, żeśmy sobie znowu przerwali jedzenie.

* * *

Jak długo chorowała — nie wiem. Podobno tydzień. Może mniej, może więcej, — nie wiem. Zaczęły mi się plątać dni, ranki mieszać z wieczorami; nie wiedziałem, czy to jeden dzień przeszedł, czy dwa, czy kilka, czy może jeszcze trwa — i nie pamiętam.

Któregoś popołudnia wyszła na silny mróz. Wróciła, skarżąc się na gardło. Chciałem biedz po doktora — nie pozwoliła. Mówiła, że to nic, że przejdzie, prosiła, że bym się uspokoił — i ja ustąpiłem. To pamiętam dobrze, tak, — ustąpiłem!

Na drugi dzień rano prosiła mnie już sama o pomoc. Sprowadziłem jednego doktora. Przyszedł, powiedział: „Dyfteryt.“ Nie chciałem wierzyć. Sprowadziłem drugiego, trzeciego — to samo. Nie wiele już

rozumiałem. Zaczynało mi się mieszać wszystko. Prosiłem ich, żeby nie odchodził od niej, żeby jej pilnowali dni i noc. Nie chcieli. Ruszali ramionami i mówili:— To zbyt skuteczne.

Nie miałem odwagi pytać się: — dlaczego?

Zapisywali recepty, zalecali jakieś środki. Nie chciałem się ruszyć z jej pokoju. Po lekarstwa chodził ktoś inny, zdaje się, mój kolega jakiś. Który? — nie pamiętam. Przynosił, a ja się zrywałem wtedy i biegłem sam do apteki. Chciałem płacić podwójnie, potrójnie, byle tylko dawali dobre lekarstwa. Oburzali się.

A potem przyszła jedna straszna noc. Zaczęła się dławić, dusić. Była bezprzytomna. Przyszedeł doktor i zaczął jej coś z gardła wyrywać... Chciałem go bić, ale mnie trzymali. Ach! okropność!...

Rano usłyszałem wyraz: „Operacja.“ Uciekłem. Zaczęło się coś na mnie walić i już nic, nic nie rozumiałem.

Czy wiedziała, że umiera? — nie wiem. Pod koniec nie mogła już mówić i nie

zawsze nas poznawała. A kiedy była przytomną, patrzyła na nas tak, jakby się ciągle chciała pytać: „Co to jest? co się ze mną dzieje? dlaczego mnie nie ratujecie?

I nic, nic już więcej, tylko to ciągle pytanie, zdziwienie, bojaźń i niezrozumienie.

Aż raz matka pochyliła się nad nią i powiedziała: „Już.“

Miałem dosyć. Zrozumiałem.

* * *

I co ja tu, moja Janko, będę robił bez ciebie? Ani mnie teraz żyć, ani pracować, ani czekać na co — to chyba pójdę za tobą. Gdybyś ty z mojej winy umarła, gdybym ja się w jakikolwiek sposób przyczynił do twojej śmierci, dalsze pozostawanie tutaj uważałbym za jakąś pokutę i znosiłbym wszystko cierpliwie, a tak — za co ja mam się męczyć, za co dźwigać karę?

Żyłem — boś i ty żyła, pracowałem, bo to było dla ciebie, kochałem — ciebie jedną, moja Janko, — więc mi już teraz nie pozostaje nic. Byłaś mojem szczęściem i rozkoszą, a w końcu stałaś się moją biedą,

ale ja cię kocham więcej za tę biedę, aniżeli za te dni szczęśliwe, któreśmy przeżyli. Teraz nie stajesz mi nigdy w myślach uśmiechnięta, wesoła, jaką byłaś dawniej, tylko taka jakaś smutna, taka biedna i wystraszona, że mi się chce przytulić cię do piersi i powtarzać ciągle: „Nie bój się, moja maleńka, nie bój się moje kochanie!“

Życia — no, trudno, — mnie życia jest trochę żal, naturalnie. Tyle się marzyło, tyle spodziewało, a tu tak odrazu pójdzie gdzieś wszystko... Ale mi ciebie jeszcze bardziej żal, moja Janko, i tak żal, że sobie nie mogę już z tem dać rady i dlatego pójdę tam do ciebie. Tobie tam smutno i tęskno, mnie też tu jakoś niedobrze, więc na co czekać mamy?

I, widzisz, ja się uśmiecham teraz. Łzy mi w oczach stoją, ale się uśmiecham ciągle. Bo jak to ty mnie tam witać będziesz, moja Janko! Nie spodziewasz mnie się zupełnie, aż tu naraz ja idę, staje sobie tak umyślnie zdaleka i mówię: „Jak się masz, Janko!“ A ty się zdziwisz pewnie ogromnie,

i ucieszysz, i załęczysz trochę, i powiesz tylko: „Przyszedłeś, mój drogi!”

A wtedy, nie wiem, czy tam będziemy mieli jakie ciała, nie wiem, czy będziemy mogli widzieć jedno drugie, ale to wiem tylko, że się połączymy w uścisku czy dusz, czy ciał, i już tak, żeby się nie rozłączyć na wieki.

A widzisz, Janko! a widzisz!

Poczekasz jeszcze na mnie, Janko!

Dzisiaj zacząłem się żegnać z matką. Uśmiechałem się do niej przez łzy i mówiłem ciągle: „Już teraz dobrze, już teraz dobrze...” A ona, biorąc widać te łzy i uśmiech za pierwszy objaw otrząśnięcia się z przygnębienia i powrotu do życia, zaczęła dziękować Bogu i w końcu, po raz pierwszy od dnia ślubu mojego, zapłakała... z radości.

Ukląłem u jej kolan i zacząłem je całować, łkając. Pochyliła się nade mną, próbując coś mówić. Wtedy uczułem nagle, że mi na głowę spadła jedna jej łza, dziwnie

INSTYTUT
ADAM LITERACKICH PAN

Biblioteka
ul. Nowy Świat 72
00-970 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-62-31



<http://rcin.org.pl>

F
560

hap. / rein. d. 101